

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 40. Warszawa, dnia 25 Września (7 Października 1875 roku.) Rok 11.

CENA PRENUMERATY		OPIEKUN DOMOWY	Skład Główny
Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.	wychodzi raz na tydzień, we Czwartek	Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Świat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.
rocznie . . . . . rs. 6 k. „	rocznie . . . . . rs. 8 k. —	REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT	
półrocznie . . . „ 3 „ „	półrocznie . . . „ 4 —	NR. 72 NOWY.	NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.
kwartalnie. . . „ 1 „ 50	w Austryi roczn. 14 guld.		
miesięcznie. . . „ „ 50	w Prusach „ 24 marek.		

PRACA KOBIET BOGATYCH.

A to co znowu!? Alboż kobiety bogate potrzebują pracować?

Ręczyć można że na sto czytelniczek, dziewięćdziesiąt spojrzawszy na tytuł, takim uprzedzi nas pytaniem, i nic w tem nie widzimy dziwnego.

Pojęcie pracy tak jest jeszcze zamglone i tak dziwnie nawet w inteligentniejszych umysłach się plącze, że najsłuszniejszy w tym względzie aksyjomat, najsłuszniejsze żądanie, paradoksem częstokroć wydać się może.

Z tem wszystkiem nie myśląc rozwijać po tysiąc już razy powtarzanych teoryj pracy, jej znaczenia i t. p. nie myśląc silić się na dowiedzenie prawdy, że im kto więcej dóbr materyjalnych posiada, tem silniej względem pracy obywatelskiej obowiązanym się staje; przystąpimy wprost do rzeczy, a raczej do ogólnej przedewszystkiem charakterystyki naszych kobiet bogatych.

Otóż, ktokolwiek w kobiecy światek wpatruje się uważniej, przyznać musi koniecznie, że kobiety bogate, na dwie dość wyraźnie rozdzielają się grupy:

Do pierwszej należą czystej krwi salonowe lalki, drugą stanowią kobiety pełne dobrych chęci, żądne czynu i szerszej działalności społecznej, ale niewiedzącej co z chęciami swojemi począć, jak je użyć i jak niemi pokierować.

Nad pierwszą kategoryją „niebianek“ nie zatrzymamy się długo. Któż bowiem nie zna i kto nie charakteryzował w rozmaitej już formie, owych wiecznie strojnych i uśmiechniętych, wiecznie goniących za hołdami, a wiecznie bezmyślnych maryjonetek?...

Ściśle rzecz biorąc, są to istoty, którem z poważniejszej i więcej ogólnej strony nie warto się zajmować.

Do tej sfery kobiet bogatych głos prasy nie jest się w stanie przedrzeć, bo większość z nich, zatopiona w skandalicznych romansidłach francuskich, nie wie nawet, czy prasa polska istnieje. Pań tych niedola i potrzeby społeczeństwa własnego nie są w stanie poruszyć, bo laleczki o potrzebach i interesach rodzinnego kraju wiedzą często daleko mniej, aniżeli czytelnicy niektórych pism warszawskich o Japonii lub Chinach. Te panie nie kochają nic, lub kochają pokojowych pinczerów; miłość bowiem własnych dzieci przelały na umyślnie w tym celu sprowadzone pokojówki paryskie.

Być zresztą może, że i takie nawet indywidua bezmyślne, mają chwile w których uczciwszy instynkt wydobywa się na wierzch; być może, że i dla takich istot, po latach kokieteryjnych marzeń, po latach młodości i po latach udawania młodości, przychodzi pewna epoka obrachunku z życiem i pytanie: co się też w ciągu swej pielgrzymki zrobiło, coraz bardziej natrętnym, coraz natarczywiej niepokojącym prześladowcą się staje. — Cokolwiek bądź, chwile podobne są albo bardzo krótkie, albo bardzo spóźnione,— i ostatecznie bogate lalki tak dla siebie, jak i dla ogólniejszych celów społecznych, zdają się być raz na zawsze przepadłe.

Natomiast godniejszą jest niezaprzeczenie uwagi, druga kategoryja kobiet bogatych.

W miarę, jak prawdziwie postępowe pojęcia przenikają do różnych warstw społeczeństwa naszego—i w miarę jak naturalny ruch w zakresie pracy niewieściej, w coraz poważniejsze i więcej praktycznych rezultatów obiecujące przyoblekа się formy, przybywa i w świecie salonów, w świecie kobiet bogatych, pewne kółko *takich*, które mimo, że w świecie tym wychowały się i wzrosły, mimo nawet że o obowiązkowej dla każdego członka narodu, pracy obywatelskiej zbyt niewiele słyszały,— czują się jednakże jakby w obcym sobie żywiole, czują, że ich działalność nie na służeniu za modny mebelek ograniczać się winna, czują, że potrzeba żyć im jakoś inaczej, żyć pożyteczniej i prawdziwie *po ludzku*.

Są to jak już z góry zaznaczyliśmy, kobiety pełne dobrych chęci, pełne gorących i szlachetnych porywów, ale niestety, chęci i porywów marniejących najczęściej w marzycielskim bezczynie.

Panna X. mieszkanka Warszawy, jest właśnie jedną z takich panien bogatych. Panna X. posiada wszystkie tak nazwane salonowe talenty, uprawia „w wyższym stopniu“ muzykę i śpiew włoski, czytuje bez wyboru francuskie książki, a nawet w chwilach nudy bierze do ręki coś polskiego, lub też oddaje się malarstwu.

Panna X. ma więc dzień prawie cały zajęty, panna X. ciągle pracuje, ale z tem wszystkiem pannie X. poczyna dolegać jakaś dziwna, niedająca się jaśniej określić życiowa pustka. — Jej młode siły chciałyby stworzyć coś, coby jej głębsze zadowolenie i trwalszą nagrodę dać mogło, jej ruchliwy umysł wkracza w sferę ogólnego pożytku; panna X. marzy o tem, coby przy poważnych swoich robotach mogła zrobić dla drugich.

Z początku marzenia te, w coraz wyrazistszych i żywych bardzo przedstawiają się bar-

wach; następnie, gdy myśl nie znajduje jakiejś trwałej podstawy, zmęczona długą w błędnej krainie marzeń wędrówką, chwiać się i wahać poczyna, a wówczas zapał pierwotny gaśnie, gorąca żądza czynu ostudza się, i panna X. pasuje się w rezultacie, albo na zwyczajną salonową maszynkę albo też na emancypantkę *fałszywą*.

Otóż takich to przykładów coraz więcej w naszym świecie niewieścim, zauważyćby można, a jak z jednej strony, marnowanie się tego rodzaju marzycielskich może cokolwiek, lecz zacnych w gruncie rzeczy dążności, jest niepowetowaną dla ogółu stratą, tak z drugiej znów wszelkiemi siłami staraćby się potrzeba, aby owe porywy kobiet bogatych, na korzyść właśnie ogólniejszych celów wyzyskane być mogły; aby słowem dobre chęci przy odpowiednich zasobach materyjalnych, w formę rozumnej pracy obywatelskiej zamienić się dawały.

Jaką atoli mianowicie ma być owa obywatelska ze strony bogatych kobiet praca? i w jakim kierunku, praca ta winna by się rozwijać?

Nie jednemu z obznajmionych z potrzebami własnego kraju, pytanie podobne dość dziwnie mogłoby się przedstawić, dla kobiet jednak tych, o jakie w tej chwili nam idzie, pytanie to nie będzie niezawodnie zbytecznem, bo kobiety bogate potrzeb społeczeństwa swojego najzupełniej nie znają. W dzieciństwie nikt im o obowiązkach względem ogółu nie wspominał, następnie, nie miały od kogo pozyskać jakichś wybitniejszych w tym przedmiocie wskazówek, nic więc dziwnego, że gdy przyjdzie pora, pora samodzielności życiowej, i gdy chęć czynu zapali dojrzewające umysły, nie wiedzą zwykle, od czego najniezbędniej wypadałoby zacząć.

Naturalnie, w krótkim artykule dziennikarskim, całego programu pracy kobiet bogatych niepodobna nam kreślić; radzibyśmy jednak na jeden tu przynajmniej punkt ważniejszy i choćby w formie tylko przykładu położyć pewien nacisk wyraźny.

Dziś już co się tyczy tak nazwanej „sprawy kobiecej“ opinije zarówno najbardziej zacofanych jak i najbardziej postępowych, do jednego wytycznego schodzą się punktu.

Potrzeba przedewszystkiem rozszerzyć pole kobiecego zarobku, *a jak u nas i jak obecnie*, jedynym rzeby można, urzeczywistnienia potrzeby tej czynnikiem, jest praca rękodzielnicza obejmująca, najodpowiedniejsze dla sił i naturalnych usposobień niewieścich, działy.

Oto kwitensencyja dzisiejszej u nas w sprawie kobiecej opinii, i... przyznajmy kwintesencyja słuszna. Aby jednak słuszność ta przejawiła się w rzeczywistej i szeroko sięgającej praktyce, aby owo naglące rozszerzenie zakresu niewieściego zarobku dostało się w udziale nie wyjątkom, ale całym tysiącom kobiet, najbardziej reformy tej potrzebujących, nie dość jest samej, choćby najzgodniejszej w tym względzie teoryji i niedość praktycznych ale nieudolnych zazwyczaj próbek.

Jeden, dwa czy cztery na cały kraj rękodzielniczo-naukowe zakłady, przy pobieraniu zwłaszcza dość wysokiej i *niekiedy* na spekulacyją obliczonej opłaty, nie są wystarczające. i potrzeba raczej, aby zakłady tego rodzaju, funkcyjonując w najrozmaitszych zakątkach, otwierały wstęp wolny kandydatkom, które nie dla chwilowego kaprysu, ale dla polepszenia niewesołej dziś doli, które *dla chleba* uczyć się i pracowaćby chciały.

Na to zaś potrzeba znów przedewszystkiem zdrowej inicyjatywy obywatelskiej, potrzeba znacznych stosunkowo-początkowych nakładów skąd wziąść jednej i drugich?

Otóż tutaj stanowisko *chętnych* kobiet bogatych w obec sprawy ekonomicznego wyzwolenia ich siostr biedniejszych, jasno się już przedstawia.

Nie sposobem czystej filantropii ale rozumną inicyjatywą całą tę masę sił marniejących dziś w pracy bezpłodnej, lub co gorsza w przybytkach moralnego trądu, zwrócić na nową i więcej, tak samym interesowanym jak i społeczeństwu całemu obiecującą drogę, oto jedno z najważniejszych u nas zadań chwili obecnej i jedna z najwybitniejszych wskazówek: którędy praca kobiet bogatych postępowaćby winna.

Zróbcie zresztą szan. emancypantki jakikolwiek, byleby pozytywny początek, sprobujcie własnemi siłami stworzyć choćby jeden naukowy zakład kobiecy, a ręczyć można, że rozumny i jasno określony krok pierwszy, śmielej już poprowadzi was *naprzód*.

Jan Jeleński.

Wczoraj i Dziś

(z notatek uniwersyteckich swojego kuzyna)

przepisał

Stanisław Wolski.

(Ciąg dalszy).

Wyprawy podobne agitował zwykle Karol. Rano w dniu przedstawienia pędził do kasy i zakupywał masę biletów na paradyz, które odprzedawał następnie. Grano pamiętam w teatrze Rozmaitości „Miód Kasztelański“, a Królikowski z prawdą, godną takiego jak on mistrza, odtwarzał postać dawnéj daty szlachcica.

O godzinie 5-ej byliśmy już wszyscy pod zamkniętymi podwojami przybytku sztuki. Nie byliśmy sami, było bo więcej amatorów scenicznych widowisk, studenci rej jednak wiedli.

— A cóż u dyjabła — odezwał się po chwili na cały głos Karol, zapłaciłem złotówkę i muszę wystawać pod drzwiami—My dłużej czekamy, odezwało się w odpowiedzi kilka głosów. Żeby przynajmniej gaz zapalono bo ciemno jak w piekle, a przecież między nami i płeć piękna znajdować się musi.— Racyja, racyja, wtorował Oleś, kobiety muszą być pomiędzy nami, bo one większy daleko od nas mają pociąg do sztuki. — Do malowanej? wtrącił na to złośliwie drobny Staś, złośliwie ale dowcipnie. Roześmiano się na cały głos... Niechby do malowanej, byle nie do kusej, odpowiedział na to głosik jakiś piskliwy; obejrzeliśmy się za nim, ale że ciemno było zupełnie, niceśmy nie dopatrzyli.—Brawo, brawo, krzyknięto teraz chórem. — Vivat piękne kobiety i ich pociąg do wysokich. Adasiu twoje papiery idą w górę, mówił Alfons, słyszałeś, co powiedziano przed chwilą.

— Weźmie jeszcze większe kołnierzyki, prawił radykalista. — Ale tu na prawdę gorąco, moi panowie, wrzeszczał Karol, cały w potach jestem; panie konduktorze, czy jak ci tam, wołał dalej głos podnosząc, oświeć nas i pokaż nam, gdzie jesteśmy.

Za chwilę błysnęła lampa, a przeciągłe o!— a!— było jej powitaniem. Poczęto się pchać coraz bardziej tak, że zaczęliśmy przypuszczać, iż się do „Miodu Kasztelańskiego“ nie dostaniem wcale. Otworzyły się wreszcie drzwi tajemnicze, i cała czereda hurmem rzuciła się na schody, dla zdobycia wygodnego miejsca w teatrze. Na schodach tych było jeszcze gorzej jak przedtem, kto w tej gonitwie upadł, nie podniósł się tak prędko, stu wpadło na niego, przeskakiwało, deptało. Kto zręczniejszy przesadzał po kilkanaście trepów, wyprzedzał innych, dostawał pomieszczenie niezgorsze.—Nasi górą, wołał Karol usadowiwszy się w pierwszej ławce. Alfons, Oleś, Józiu do mnie, miejsca huk — prędzej, gdy dla kogo zbraknie to szturm przypuścimy. I za chwilę na ławie pierwszego rzędu dominowały granatowe mundury.—Brawo temu staremu jegomości w krzesłach, który nam kompanii dotrzymuje i razem z nami przychodzi na przedstawienie, choć jeszcze bardzo wygodnie mógł przybyć za godzinę, brawo — dał rubla, ale go rzetelnie, co się nazywa, odsiedzi.

—Brawo, brawo, wołano ze wszystkich stron i walono grzmiące oklaski. Nareszcie inny znów przedmiot zwrócił uwagę hałaśliwej i wesołej młodzieży. Oto jakaś mama z córeczką szuka napróżno miejsca, wszystkie pozajmowane.— Panowie, uszanowanie dla dam, woła Karol; miejsca, miejsca, i przy tych słowach usuwa się pierwszy a reszta w ślad jego wstępuje. Mama waha się trochę z początku, panienka kraśnieje jak wiśnia, ale ciekawość przemaga i obie białogłowy sadowią się między nami. Akademija czuje się w obowiązku bawić damy, siedzący najbliżej panienki Józio Nr 1 mistrz w rzeczach teatralnych, poznając po chwili że dziewczątko rozsądne, zdrowo rozumuje, kocha teatr, a czytała bardzo dużo. Józio Nr. 1, wychowany na Virgilim i Homerze coraz więcej zapala się i dowodzi, panienka słucha, oczki spuszcza; a my dalsi śmiejemy się z poczciwego filologa. Zagadał się tak nareszcie iż kurtynę już podniesiono a on prawił i prawił o zawiłych intrygach greckiej sztuki.

Pomiarkował się jednak w ostatku, poznał iż jest celem powszechnej uwagi, i rozmowa się urwała. Powagi z lóż i krzeseł utrzymują, że paradyz hałasuje i w najpatetyczniejszych miejscach przeszkadza. Protestuję przeciwko temu stanowczo; patrzyłem na to z bliska i rzadko zdarzyło mi się zauważyć, aby prosta i kochająca dusza omyliła się w tem, kiedy oklaskami nagrodzić aktora. Boć przecież między temi poczciwemi jest i inteligencyja rozumiejąca o co chodzi, sądząca trafnie i zdrowo. Jak to już tam było, wiele razy po każdym akcie przywoływano Królikowskiego, tego opisywać nie będę, dość że kortyna zapadła i nadeszła chwila odwrotu. Spoceni i zasapani od wrażeń i gorąca, zaczęliśmy zwolna wytaczać się ze świątyni sztuki.

Naturalnie Józio Nr 1, ofiarował się z odprowadzeniem do domu swojej nowej znajomości,

Miecio wysunął się na drugiego, boć trzeba było i mamie podać rękę, reszta z nas rzuciła grzeczne dobranoc i rozeszliśmy się w różne strony.

ROZDZIAŁ VII.

Od owego wesołego wieczoru upłynęło parę tygodni.

Duże miasto jak Lewiatan chłonie w swą nienasyconą paszczę, wszystko. co mu się nawinie. Wielkie czyny mięszają się tu ze zbrodnią, poświęcenie z brudnym egoizmem. Wszystko tu jak meteor, zabłyśnie, czas jakiś poświeci i znika, ustępując miejsca czemuś innemu. Nie ma czasu zachwycać się wrażeniem, bo już drugie nowe czeka a za nim trzecie, i tak dalej bez końca.

Nie dziw więc, że gorące głowy młodych chłopaków zapomniały wkrótce tak dobrze o Królikowskim, jak i o ładnej towarzyszce z paradyzu. Czy wszyscy? A tego nie powiem. Józio Nr. 1, nie darmo dratowalna Nowe-Miasto, nie darmo w drodze prawił w dalszym ciągu o sztuce, ideałach i miłości. Na pożegnanie otrzymał czuły uścisk panny, i uprzejme ze strony mamy zaproszenie którego dnia na herbatkę.

— Miły chłopak, rzekła mama zabierając się do spoczynku.

— Ładny chłopiec i wymowny, dorzuciła panienka. Wie mamusia, że wcale nie żałuję dzisiejszego wieczoru. Józio tymczasem myślał tylko o zrealizowaniu zaproszenia na herbatkę i wyczekiwał jak zbawienia tej chwili. Filolog był już jednem słowem zakochany po uszy. Biedny chłopak, ile on za to wycierpiał od nas, ile mu nadokuczał sparzony radykalista, trudno tego zapamiętać. Józio miał gorące serce, gorącą głowę, więc nie przypuszczał złego i wierzył tak silnie w poświęcenie i miłość, że trzeba mu było zazdrościć. Nareszcie wybrał się był na herbatkę ową, poszedł i wrócił bardziej jeszcze oszołomiony.— Czemum ja już nie skończył tej sztuby przeklętej, mawiał czasami, czemu ja nie mam stanowiska—chleba? Wszystko bym jej dziś rzucił pod nogi, a tak — co? Wzdychaj i gryź się, nie, ja sobie życie odbiorę.

Reflektowaliśmy biedaka, obiecując że wszystko się na dobre obróci; uspakajał się więc, ale ledwo parę dni upłynęło spokojnie, porywał się i biegł na Nowe-miasto, aby znów poić się szałem. Cudowny to bo w istocie był ten ich stosunek; takie rzeczy napotyka się w romansach i w poezyi, w życiu rzeczywistem nie spotyka prawie nigdy. Namówiony przez drugich, odwiedziłem i ja kiedyś poczciwą wdowę w jej cichym domku, a było to na wiosnę, natura budziła się do życia, ptaszki pieśni swe rozpoczynały, słońce mocniej przygrzewać poczęło, a Józio i Helenka coraz bardziej się kochali, coraz bardziej żyć bez siebie nie mogli.

Był przecież jeszcze ktoś drugi, na którego wdzięki panny Heleny czarowny swój wpływ wywarły. Tym drugim był Adaś.

Poczciwiec anglik z początku nie przyznawał się do niczego, w nowomiejskim domku rzadkim bardzo bywał gościem, a zawsze sztywny i poważny, mówił z panienką nie wiele, patrzył tylko i słuchał. Wypadek go zdradził i poplątał szyki nam wszystkim. Była processyja Bożego Ciała, umówiliśmy się więc z paniami, że udamy się razem do kościoła Ś-go Jana. Punkt zborny był naturalnie na Nowem-mieście. Jak dowiedziałem się później, Adaś stawił się pierwszy, chodził długo z panną po małym ogródku, a zakochany Józio wchodząc z drugiej strony, zauważył że go panienka czule uścisnęła za rękę. Ma się rozumieć że było tego dosyć, wybuchnął jak wulkan, naprawił niegrzeczności Adasiowi, ukłonił się chłodno pannie i odszedł natychmiast. Cały plan odbycia razem processyi został zrujnowany...

Na drugi dzień jeszczem dobrze nie wytrzeźwiał po śnie jakimś przyjemnym, gdy zastukano do drzwi. Zerwałem się na równe nogi zdziwiony tak ranną wizytą. Przedemną stał Adaś.— Co się ci stało, spytałem ściskając go za rękę i pociągając na środek izdebki.— Nic, nic, rzekł mi na to pozwól niech usiądę, piekielnie się zmęczyłem, djabelnie do was wysoko.— Aleś ty blady coś strasznie, powiedziałem, powiedz co tam zaszło między tobą a Józiem, tylko mów prędko, dopóki śpi Karol, bo ci potem do słowa przyjść nie da.—A tak to ta właśnie nieszczęśliwa sprawa z Józiem spać mi nie dała, przyszedłem więc do ciebie po radę, co robić; jestem zdecydowany na wszystko, czy wiesz że mi takich komplimentów nagadał w obec panny, iż chyba zakończymy pojedynkiem.

— Zmiłuj się zawołałem pojedynek między nami, między przyjaciołmi, nie to niepodobna.

— Tak, tak, powtarzał Adam, bez tego się chyba nie obejdzie.

— Zmiłuj się, rzekłem z kolei, powiedz że mi przynajmniej co to i jak to było?

— A no jak było? Józio jak wiesz zakochany w pannie a panna w nim. Szczerze ci się przyznam, że i mnie podobała się bardzo. Długo biłem się z myślami i nie chciałem wchodzić mu w drogę, ale zawiniłem, uległem. Zacząłem bywać coraz częściej w godzinach, w których naturalnie Józia tam nie bywało; z początku rozmawialiśmy tylko o nim, powoli zeszliśmy na co innego i ani się spostrzegłem jak onegdaj z czułem uściśnieniem ręki usłyszałem „a przychodź pan przecie częściej.“ Czy dyjabeł siedzi w tej dziewczynie, pomyślałem sobie, powiedziałem jej to samo, co Józio parę tygodni temu powiedział, że bez niej żyć nie mogę, popatrzyła na mnie dziwnie jakoś, uścisnęła mi rękę, wiedziałem, żem jej nie obojętny. Józio widział to wszystko i oto koniec powieści. Ale widzisz, dodał po krótkiej pauzie, innego punktu wyjścia nie ma — ja postąpiłem sobie nie po koleżeńsku, on także, los rozsądzi między nami.

— Co też ty pleciesz człowieku, pojedynek, czy i my akademicy będziemy także sądów takich używać, wstydź się, porzuć te myśli, dziś na obiedzie pogadam z Julijanem i innymi, załatwimy tę sprawę inaczej.

— Muszę ci jeszcze powiedzieć, dodał mający się ku wyjściu Adaś, że Józio jest zapamiętale zły na mnie i o zgodzie myśleć nie będzie.

VIII.

Pani Piotrowa.

Dla czytelnika to nic, ale dla nas było to bardzo wiele. Pani Piotrowa była jeneralnym kucharzem całej akademickiej drużyny; dawała nam życie, a jej mieszkanie było wspólnem codziennem zebraniem naszego serdecznego gronka. Poczciwa kobiecina, wszyscyśmy ją kochali, ona wzajem uważała nas jak dzieci swoje i starała się dogadzać.—Pani Piotrowa chory jestem, mówił jeden, struli mię jakiemiś zrazami w restauracyi.—Mała rzecz, odpowiadała poczciwina, dostaniesz pan przez kilka dni tylko rosołku i kawałek mięsa i staniesz wkrótce na nogi. Tak się też najczęściej robiło; wszystko u niej było smaczne a nie kosztowne, sporządzone po prostu ale zdrowo i porządnie.

Pani Piotrowa duszą oddana była swojemu zajęciu. Niemłoda, otyła, z dobrodusznym wiecznym uśmiechem rozlanym na twarzy, typem była gosposi, nabożna przytem, ze zgrozą podawała w soboty mięso dla liberalnych akademików.

— Ja panów na moje sumienie nie biorę, zastrzegała gdy nadchodził dzień postu, grzeszcie, grzeszcie a zobaczycie; ale zresztą młodzi a do nauki sił nielada potrzeba, to wam Pan Bóg przebaczy, dodawała sentencyjonalnie.

Gdy nas nie wielu było na obiedzie, lubiła wchodzić z nami w dłuższe gawędki; przeco naturalnie obiad szwankował, ale wybaczaliśmy jej chętnie te małe uchybienia. Z przyszłemi doktorami rozmawiała o medycynie, z prawnikami o jakiejś niedoszłej sukcesyi,— dla matematyków i filologów nie miała tematu, chyba tylko że jej wychowaniec Staś nic się nie uczy, i to martwi ją niepomiernie.

Zacny jej małżonek był wiernem odbiciem swojej połowicy. Tłuściutki, rumiany, był jak mówił urzędnikiem a urząd zasadzał się na roznoszeniu ekspedycyj przy jakiemś biurze, zawsze przytem był wesoły, zawsze w dobrym humorze. W niedzielę usługiwał nam sam do obiadu, swarząc się przytem ciągle z żoną i domagając się głosu przeważnego. Łatwo nam jednak zauważyć przyszło, że długie włosy rządzą w tym domu. Trzeba też dodać że pani Pietrowa miała przy sobie siostrzenicę, bardzo skromną dzieweczkę, a że za całe mieszkanie miała jeden pokój i jedną kuchnię; skromna więc panienka siedząc za parawanem, wysłuchiwała czasem rozmów nie budujących koniecznie.

Wszystko szło dobrze dopóki nie przyszedł Oleś i Karol, ale z ich nadejściem zmieniała się postać rzeczy. Karol jak wiadomo we wszystkich okolicznościach życia był nader głośny. Gdy przychodził na obiad słychać go było jeszcze w sieni.

— Pani Piotrowa, co tam Pan Bóg dał? oto zwykłe jego przywitanie, dużo kartofli do barszczu i to na osobnym talerzu, dodawał,— potem *sztuka mięsa*, potem reszta, tylko proszę prędko, i rozsiadał się między nami. Wiecie, spóźniłem się na obiad, ba a dla czego? Oto... tu wyrywał się z jakimś niekoniecznie salonowym konceptem, przyczem trącał go który z nas łokciem pokazując na parawan,— wszyscy się śmieli, Karol niekończył rozpoczętego opowiadania, tylko pod nosem wymruknął, „dyjabli nadali“ i spożywał, co Bóg dał. Trwało to jednak nie długo, zanadto był ruchliwy, aby mógł długo wytrzymać, opowiadań miał bez liku, gdy to wyczerpał zaczepiał kolegów, klął co wlazło, gdy tego było mało, obracał się do swej żywicielki. Dzi-

wna rzecz, jadł ciągle u niej na *kredę* a miał największe łaski. Prawda że rzadko kontentował się jednym obiadem, dodatków było bez liku, po paru tygodniach zbierały się sumki, które niezły dochód czyniły pani Piotrowej. Oleś znowu ze swemi teoryjami i sceptycyzmem prawił czasem długo, aż trzeba go było mitygować, iż zawiele było słuchaczy. Nie uważał na nic, obalał wszystko, więc dziwne plótł rzeczy, a w głowie było gorąco, a pragnął czegoś, a nie uchwycił nigdy.

Czasami było ludno i gwarno w tym niewielkim pokoiku, gdy zeszli się razem wszyscy, gwar i hałas granic niemiał. Pani Piotrowa, dla mnie rosół, moje kotlety, od pół godziny siedzę nawet łyżki i noża mi nie dali, proszę o wszystko bo się spóźnię na prelekcyją, były wykrzykniki.

Wszystko to mięszało się w dziwny jakiś gwar, gdzie nikogo słychać nie było a wszyscy mówili. Co to jednak za przyjemne były te obiady. Tu ściągaliśmy się wszyscy z różnych końców miasta, dla wspólnego porozumienia się i gawędy; tu szły zarazem spory późno się przeciągające, aż dopiero gospodyni przerywała dysputę przypominając że czas do domu. „Pana Aleksandra to ja się zawsze boję, mówiła kobiecina, takie pan okropne wygaduje rzeczy, a przecież pan i poczciwy i reguralnie płaci; poco to?“ „My wszyscy tacy, mawiał Oleś, wszyscy poczciwi z dobremi chęciami, tylko nas ocenić nie umieją. „Co też pan nie mówi? Julka mówi zawsze że panowie bardzo czasem pięknie i mądrze mówią, osobliwie p. Gustaw.“ „A tak! wołano chórem, osobilwie! bo najprzystojniejszy, o tem wiemy.“ „ To sądy kobiece, dodawał Oleś, jak przystojny to już dobrze.“

CNOTY PUBLICZNE

PRZEZ

Adama Szymańskiego.

(ciąg dalszy).

Wykazaliśmy wyżej, że nasz tradycyjny system domowego wychowywania dzieci jest pozostałością najsmutniejszych czasów w rozwoju narodu; trzymając się tych tradycyj, zrywamy z najdonioślejszemi wynikami postępu, od którego niechcemy się odwracać? Wprawdzie, teraźniejszy system wychowania jest arcy zbawiennym wynalazkiem, gdyż nie odrywa nas nigdy od zabaw i rozrywek, co często koniecznem byłoby w innem razie, a tak i nie męczy i niby Bogu na chwałę idzie. Tak z nami postępowano, tak nasi ojcowie robili, tak postępowano w Sparcie i Rzymie, a my mielibyśmy targnąć się na sławną mądrość Greków, Rzymian i swych własnych ojców?! Targnąć się na nią i wyrzec jej strupieszałej mądrości jak najprędzej nam potrzeba, gdyż jest ona najwalniejszą przyczyną, tamującą szybki rozwój społeczeństwa.

Słowa moje nietrudno poprzeć faktami, nie trudno wskazać do jak potwornych rezultatów doszła nasza pedagogija, systematycznie zabijając w dziecku każdą myśl przekraczającą po za obręb dziecinnego światka. Ku temu posiada ona obfity zapas utartych frazesów i wyrażeń, nieocenionych środków zabicia w samym zarodku rozwijającej się myśli. Pierwszeństwo przedewszystkiem zdobył tu wymysł godny swojej tradycyi, wyprobowany środek zamknięcia ust natrętnemu dziecku. Cała istota tego magicznego sposobu zawiera się w jedném tylko słowie „Bozia.“—„Bozia“ jest to kapitalny i nigdy nie zawodzący sukurs wszystkich ojców, matek guwernantek i nauczycieli. — W takim zaś razie, gdy „Bozia“ nie nadaje się do odpowiedzi, mamy jeszcze dosyć innych utartych wyrażeń, zdawkowych odpowiedzi, które posiadają u nas istne prawo obywatelstwa a znajdują zawsze najszersze zastosowanie tam, gdzie myśl dziecięca wcześniej zaczyna się przebudzać. Do cieszących się ogólnem uznaniem należą:

„Dzieci niech pilnują swoich zabawek. Mówić przy obiedzie nie godzi się. Jak urośniesz to się sam dowiesz“ i zabytek Spartańskiej jeszcze pedagogii „do rozmowy starszych wtrącać się i przerywać jej nie wolno“ i inne.

Te środki gnębienia myśli, w skutek ciągłego wpajania się w nasz umysł od lat najmłodszych, tak zrosły się z naszemi pojęciami, że porzucić je przy najlepszem późniejszem rozwinięciu się, bez usilnej pracy nad sobą jest rzeczą nie zbyt łatwą. Jak dawną piosnkę „Rószczką Duch Święty“ tak my nieraz rozumiejąc ujemny wpływ podobnych odpowiedzi, rzucamy je na każde zapytanie dziecka, li tylko z długoletniego przyzwyczajenia. Jakżaś łatwo zastosować je można w stosunku z dziećmi przykład z życia objaśni: „Mamo, skąd to deszczyk pada?“ pyta sześcioletnie dziecko siedząc na kolanach swej mamy, „Bozia kochanku, z nieba go zsyła.“ Ciemne obłoki zasuną lazurowe niebo, długie błyskawice i przeciągłe pioruny straszą wrażliwy umysł dziecka, tuli się więc przerażone do piersi matki i drżącemi usty zadaje jej znowu pytanie: „Co to tak grzmi straszliwie?“ „Bozia“ znowu objaśni codzienne zjawisko natury. Upał zsyła „Bozia“, mróz także Bozia“, „ogień także Bozia“. Jednem słowem, zawsze gdy niechcemy lub nie umiemy objaśnić dziecku czegoś w sposób zwykły i naturalny, używany na pomoc na każde skinienie „Bozi“ której potęgi dziecko nie rozumie wcale.

Przypuścić należy, że brak energii i wytrwałości, który w wysokim stopniu posiadamy, w znacznej części z tego wypływa źródła. Jak w latach dziecinnych przyszłemu człowiekowi objaśnia i tłomaczy wszystkie zjawiska natury „Bozia“, tak później wszystkie błędy wynikające z naszego niedbalstwa, głupoty lub lenistwa objaśniamy sobie „wolą Bożą“ lub oglądamy się z założonemi rękami na „Opatrzność.“ Stąd nie zwracamy uwagi na swe własne błędy, widoczna niechęć do pracy nad własną poprawą. Bardzo naturalnie, człowiek który złe spowodowane własnemi postępkami, przypisuje nie sobie ale „woli Bożej“ ani pomyśli o tem, że to on sam sobie winien, nie zwraca więc uwagi na swe błędy i pozostaje przy nich. Człowiek, któregośmy w dziecinnych jeszcze latach pozbawili energii, chociaż później uczuwa jej niedostatek, nie pracuje nad jej wyrobieniem, bo wiara w wszechpotężne przeznaczenie ubezwładnia każdy samoistny krok w tym względzie. Nie mylimy się więc twierdząc, że brak energii i wytrwałości, cechujący wszystkie objawy naszego życia, obfity w tem źródle ma zasiłek; że stąd przeważnie wypływa, iż zamiast najsilniej pracować nad wczesnem wyzwoleniem umysłu człowieka z pod gniotącego wpływu przyrody, z którym sam Pan Bóg człowiekowi walkę nakazał, my wbrew zadaniom najstarszej idei człowieka, bo przekazanej mu od lat tysięcy, pracujemy najusilniej nad spotęgowaniem tego wpływu i pozbawieniem umysłu wszelkich w przyszłem życiu środków, do zerwania krępujących go więzów. Pan Bóg nie żąda czci takiej i niedorzuci ani jednego ziarnka na prawą stronę naszych czynów. Być może, zadługo zatrzymaliśmy się nad kwestyją mającą pośredni tylko związek z podjętą sprawą; łączność ta jednak jest tak ścisłą, że odstąpienie było rzeczą konieczną.

Wskazaliśmy, jak bezmyślnie odpowiadamy na pytania, których zjawienie się jest rzeczą spodziewaną, którym dla tego powinniśmy przysłuchiwać się najtroskliwiej, cieszyć się z ich pojawienia i należycie przygotować do odpowiedzi. Jeżeli więc na pytania, do których powinniśmy być przygotowani, odpowiadamy tak niedokładnie, jakże idyjotyczną musi być każda odpowiedź na zapytania przekraczające sferę materyjalnych zjawisk przyrody, dotykające natomiast duchowego życia ludzi, ich społecznych urządzeń i instytucyj, abstrakcyjnych pojęć niedostępnych dla dziecka i t. p.

„Co tata robi zawsze na tych długich sesyjach?“ pyta siedmioletni malec, siedząc przy nakrytym już stole, obok rozgniewanej niepunktualnością męża matki. „ Ach! te nieznośne sesyje, prawdziwe nieszczęście, wszystko wystygnie, smak straci i to dla jakichś *tam głupich sesyj?* Jestem ciekawa *co mu z nich przyjdzie?!*“ Taką jest mniej więcej odpowiedź mamy, na uczynione zapytanie. Rozumie się, niezaspakaja to ciekawości malca, po cierpliwem więc wysłuchaniu powyższej lamentacyi, znowu powtarza pytanie. „Jeszcze ty tu będziesz mnie nudził? proszę siedzieć cicho i *niedokuczać mi*, zresztą jak *Józio urośnie to się sam dowie!?*“ Taką jest druga odpowiedź. Dowiedziawszy się tyle o sesyjach, ciekawy malec uważa je odtąd za jakąś fatalność, peryjodycznie zatruwającą domowy spokój w ogóle, a miłe chwile obiadu w szczególności. Zdarza się jednak, że ojciec wcześniej jak zwykle wrócił z podobnej sesyi; dwie przeciwności: błogi spokój i cisza, panujące z jednej strony, a sesyja przed obiadem z drugiej zwracają uwagę malca, probuje więc na nowo czy mu się nie uda dowiedzieć się czegoś o tych donosłych w skutki sesyjach. A że pamięta odpowiedź matki, do ojca teraz zwraca się z zapytaniem. Ojciec, jak to zwykle u nas bywa uważający swą żonę za kobietę zbyt powolną, psującą dzieci zbytniem pobłażeniem jest zapalonym zwolennikiem rygoru, a gdy humor żony pozwoli, to i wykonawcą teoryj przeciw działania, zasadzającej się na tem, że zbytnia surowość jednej połowy powinna się równoważyć zdwojoną surowością drugiej i na odwrot. Dobry humor żony dozwala zastosować ją choć na niewielką skalę: „... A tobie

co do tego, czy to ja już raz mówiłem, że dziecko tylko wtedy ma mówić, gdy je starsi sami pytają, a ty rodzicom przerywasz rozmowę i to jeszcze przy obiedzie?!... Podobna moralno-obyczajowa lekcyja często się kończy jeszcze smutniej.

W ten mniej więcej sposób obznajmiamy małych ludzi z ich przyszłą działalnością publiczną; w ten to a nie inny sposób doszliśmy do tego, że na zebraniach „Merkurego“ „Spółki jedwabniczej“ i innych stowarzyszeń, nieobecność $^3/_4$ członków nie razi nikogo i jest zwykłem zjawiskiem w naszem życiu. Czy ci ludzie są winni? Nie, bo w ich wychowaniu starannie usuwano wszystko, co mogłoby rozszerzyć szym bo publicznym interesie. Okrom ogromnego wpływu, jaki na pojęcia ogółu wywiera jego ekonomiczny stan, nie mniejsze znaczenie w tym razie ma system wychowawczy. Egoizm zaszczepiany i wpajany w młode umysły bujnie zarasta nasze nieraz najzdolniejsze głowy i długo zarastać je będzie, jeżeli nie zaczniemy uwzględniać w domowem wychowaniu dzieci, obok ich własnego dobra, publicznych interesów społecznych. Gdy wychowanie w zakresie swej działalności uwzględni potrzeby publiczne i wytęży wszystkie swe siły na zaszczepienie w umyśle dziecka zdrowych pojęć o obowiązkach publicznych, nie zarumienią się wtedy czoła myślących ludzi,

Rozwój ekonomiczny i umiejętne wychowanie dzieci najskuteczniej zaradza złemu; pierwszy wszedł już w nową fazę swego życia i jest nadzieja, że nie przestanie wznosić się coraz to wyżej i wyżej; drugie oczekuje na pracowników. Tu otwiera się szerokie pole działalności dla naszych matek i ojców; tu pracując, nasza kobieta najgodniej i zarazem najrozumniej poprze ideję swego równouprawnienia.

Najnowsze wyniki racyjonalnej pedagogii wymownie potwierdzają, że niezagrodzi się dziecku drogi do przyszłego szczęścia, wpoiwszy w nie chęć gorliwej służby publicznej. Przeciwnie, taż nauka a za nią historyja roz-



Dożynki. — Rysunek A. Grotgera.

widnokrąg ich małego świata. *Ja indywidualne* stawiano przed nimi na najwyższym piedestale, a o *ja zbiorowem*, o społeczeństwie dowiedzieli się oni dopiero po wyjściu ze szkół. Nic dziwnego, że tacy ludzie, dowiadując się od kogokolwiek o istnieniu nowych obowiązków, rzucają nań pełne litości spojrzenie, uważając mówiącego jeżeli nie za zupełnego waryjata, to przynajmniej za posiadającego wszelkie kwalifikacyje do zakładu O.O. Bonifratrów; odpowiadają mu pogardliwem wzruszeniem ramion. Takim ludziom niepodobna zrozumieć tego, że oprócz interesu własnego, stoi przed nami szerokie pole działalności w wyż- uczuciem słusznego wstydu i poniżenia, bo fakta, któreśmy na początku zacytowali, przestaną nas hańbić wobec innych narodów.

Teraz więc, gdy coraz częściej podnoszą się głosy, kierujące robotą około publicznego dobra, gdy samo społeczeństwo coraz uważniej przysłuchuje się tém różnorodném nawoływaniom i w odpowiedzi na nie zabiera się do cichej i skrzętnej pracy nad sobą, powinniśmy tymbardziej zwrócić uwagę tegoż społeczeństwa, na konieczną potrzebę rozszerzania zdrowych i nieskażonych pojęć o obowiązkach publicznych, jakie każdy na swem stanowisku bezwarunkowo jest obowiązany wypełniać.

woju całej ludzkości uczy, że nic tak nierozwija młodego umysłu jak wczesne i gruntowne obeznanie się ze sprawami publicznemi i gorliwe tychże spełnianie. Człowiek, rządzący się w życiu publicznem zdrowemi zasadami i w życiu domowem okazuje stokroć więcej sprężystej energii i wytrwałości, niż znikczemniały i gnuśny egoista. Przykładem wspaniała postać Staszica— znane jego życie publiczne, a czyż nie umiał drogą godziwą, *spełniając wszystkie swe obowiązki,* dojść do tego, co szczęściem na ziemi nazwano, do bogactwa? Zmienić więc należy sposób postępowania z dziećmi. Równolegle z pojęcami

o jego własnych potrzebach kładźmy w młody umysł pojęcia o potrzebach i interesach ogółu. Ucząc dziecko robić dobrze sobie, uczmy je jeszcze, jak należy robić dobrze społeczeństwu. Rzućmy raz na zawsze średniowieczne przesądy, stojące w rażącej sprzeczności z naszym w innych kierunkach postępem; chlubiła się nimi Sparta, chlubiła jezuicka rzesza, ale dla nas hańbą są one. Porzuciwszy je, wsparci ekonomicznym rozwojem kraju, wydamy inne od dzisiejszych owoce na polu naszej publicznej działalności i rzeczywiście odrodzimy społeczeństwo; wtedy dopiero „viribus unitis“ hasło nowej cywilizacyi ze sfery pustej frazeologii przejdzie na pole praktycznego zastosowania. *d. n.*

ŚLADY ŻYCIA.

XL.

Tyle życia ile w c z y n i e.

Nikt nie odbiera tylu hołdów, jak Melpomena i jej kapłanki. Widzieliśmy jaką ofiarę z uczuć i... złota składały na jej ołtarzu warszawscy poczciwcy, otóż prowincyja taże dzielnie naśladuje nas w tym względzie. Słyszeliśmy np. niedawno, a słyszeliśmy z ust nader wiarogodnych fakt następujący. W jednem z miast prowincyjonalnych zajaśniała talencikiem młoda i ładna aktoreczka. Sługębna fama rozniosła wnet wszędy jej imię, tysiące serc młodych i starych zawrzało uwielbieniem, tysiące kieszeni zabrzęczało dźwiękiem mamony. Bogini była w zachwycie i wystarczało to jej zupełnie, wielbiciele atoli zapragnęli złożyć gorętszy jeszcze dowód uznania, zapragnęli mianowicie unieśmiertelnić kapłankę *trykotowej sztuki* (zachwycała w offenbachijadach), w dźwięcznym tonie pieśni. Że na nieszczęście w pojedynkę nikt jakoś nie mógł się zdobyć na „coś godnego“, postanowiono uskutecznić zamiar *viribus unitis* i w tym celu *wysadzono* z grona inteligencyi miejscowej oddzielną komissyją. Po długiej mozolnej pracy szczęśliwie komisyja dokonała dzieła, poczem jednego z członków wydelegowano do Warszawy, aby się postarał o umieszczenie wspaniałego sonetu w jakiem piśmie peryjodycznem. Najlepsze z tem wszystkiem chęci i mozolna praca pozostały bez żadnego skutku, redakcyje bowiem do których kołatano nie poznały się na wartości utworów. Co za szkoda... co za szkoda...

* * *

W dwuznacznem bardzo świetle stawia się instytucyja publiczna, jeżeli z nieokreślonych jasno powodów, otacza się jakąś tajemniczością, zakrywa przed światem wewnętrzne sprawy swoje. Notujemy tu fakt autentyczny. Jeden z literatów naszych pragnąc skreślić dzieje stowarzyszenia, które po długiem, bardzo długiem odrętwieniu, zaczęło jak się zdawało dawać pewne oznaki życia, zwrócił się do zarządu z prośbą, aby mu pozwolono z pierwszych źródeł skorzystać. Pan prezydujący oświadczył jednak, że archiwum stowarzyszenia jest pewnego rodzaju sanctuaryjum, do którego wstęp udzielonym być może tylko w wyjątkowych razach, za zgodą wszystkich członków zarządu i na najpierwszem posiedzeniu rzecz tę pod decyzyją przedstawił. Rada udzieliła odmówną odpowiedź, nie określając żadnego słusznego ku temu powodu. Złośliwi podejrzywają zaraz, że przegląd akt i protokółów stowarzyszenia, rzuciłby nie zbyt korzystne światło na dotychczasową działalność jego członków, wykazując fakta które uważano za stosowne pominąć w ogłoszonem publicznie sprawozdaniu. Nie wchodząc w to o ile złośliwcy mają racyją, sądzimy, że każda instytucyja publiczna nie powinna bać się jawności, jeżeli nie chce stracić wiary u ogółu.

* * *

Święty to obowiązek poprzeć gorąco talent prawdziwy i rzetelną zasługę, to też nie wątpimy ani na chwilę, że publiczność warszawska zbierze się tłumnie na koncert znanego kompozytora p. Adama Münchheimera jaki się w przyszłą niedzielę odbędzie. Program koncertu wypełnią wyłącznie własne utwory koncertanta, który i z tego jeszcze względu zasługuje na szczere i serdeczne uznanie, że odziedziczywszy po ś. p. Moniuszce, zacną myśl wspierania młodzieży uniwersyteckiej, poświęca na ten cel niemało czasu i zabiegów.

* * *

Niech tam pesymiści narzekają sobie na leniwe tętna życia naszego, niech tam rzucają gromy na to, że nam ciężko się jakoś wydobyć na szersze drogi rozwoju, my powiemy, iż dobrą w nas budzi otuchę ta okoliczność, że lubo zwolna, zawsze przecież naprzód jakoś idziemy. W niektórych szczególniej a donioślych sferach życia objawiają się wielce obiecujące na przyszłość zaczątki. W ostatnich np. czasach jak już donosiliśmy o tem w „Opiekunie“, z funduszów pana Leopolda Kronenberga powstała tak nad wszelki wyraz potrzebna i pożyteczna instytucyja, jak wyższa szkoła handlowa, a obecnie już znowu myśli się o tem, aby o o krok ważny na tej się drodze posunąć. Robią się zabiegi by otworzyć i niższy z podobnym kierunkiem zakład naukowy, mianowicie zaś 5-cio klasowe progimnazyjum realne. Progimnazjum ma powstać ze składek prywatnych, a że i tej dobrej myśli p. Kronenberg jest promotorem, nie można wątpić, iż zamiar w czyn się niedługo zamieni. Mówią coś także że dla kobiet ma być otwartą specyjalna szkoła handlowa.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

XII.

Dyjetetyczna recepta przy cierpieniach brzusznych.

z Prof. i D-ra Bock'a podał St. W. Łukowski.

Pod nazwą *cierpień brzusznych,* rozumiemy dolegliwości powstające w skutek utrudnionego krążenia krwi w żyle wrotnej—t. j. w tych naczyniach, które przeprowadzają krew z żołądka, kiszek, śledziony i trzustki, do wątroby, a stąd, przez żyłę główną dolną, do prawego przedsionka serca.

Stan chorobowy, o którym tutaj jest mowa, zowie się także *zawałem żyły wrotnej, zastojem brzusznym, cierpieniem hemoroidalnem* lub *przekrwieniem brzusznem,* i stanowi toż samo cierpienie, przeciwko któremu większość lekarzy zaleca siarkę i karlsbadzkie wody mineralne. Pomieniony stan chorobowy napotkać się daje przeważnie u osób prowadzących sposób życia siedzący, (szczególniéj w postawie pochylonéj), przy braku ruchu na świeżem powietrzu i przy obfitym pożywnym pokarmie; stan ten rozwija się głównie wówczas, kiedy obok siedzącego sposobu życia oraz zbyt obfitego pokarmu, ma jeszcze miejsce natężona praca umysłowa, częste użycie napojów wyskokowych, przygnębiające wzburzenia moralne, i częste przyjmowanie mocno przeczyszczających środków. U kobiet zaś, rozstrojeniu krążenia krwi w żyle wrotnej, sprzyja mocne zawiązywanie spódnic, oraz noszenie gorsetów i sznurówek, uciskających wątrobę. Dolegliwości towarzyszące rostrojeniu krążenia krwi w żyle wrotnej, występują najwyraźniej u urzędników hemoroidalistów i u hipokondryków. Z początku są one małoznaczne, posiadają bardziéj *miejscowy charakter* i polegają na nieprzyjemnem uczuciu ucisku i pełności w górnéj okolicy brzucha (szczególniéj po przyjęciu pokarmu), na uczuciu ściskania w piersiach, połączoném nierzadko z bardzo silnemi kolkami, na rostrojeniu apetytu i nieprawidłowości wypróżnień (raz bywa zatkanie stolca to znów biegunka), na zjawieniu się bolesnych guzów na okół odbytu. Powoli, przy powiększeniu się wyżéj wskazanych dolegliwości miejscowych, oraz przy coraz bardziéj wzmagającem się rostrojeniu odżywiania, następuje i ogólny upadek zdrowia, wyrażający się: brakiem ochoty do pracy, ponurem usposobieniem ducha, drażliwością, tęsknotą i niemocą.

Przy cierpieniach brzusznych, należy starać się o zmuszenie strumienia krwi żyły wrotnej do krążenia ku wątrobie i po niej, nie zaś o przyciąganie krwi żyły wrotnej do prostnicy (kiszki odchodowej), za pomocą przystawienia pijawek do odbytu, jak to czyni niewłaściwie wielu lekarzy. Prócz tego, dla usunięcia cierpień rzeczonych, okazuje się koniecznem: wzmocnienie czynności serca i narzędzi oddechowych, prędszy ruch żołądka i przewodu kiszkowego, odpowiedni skład krwi w żyle wrotnej i usunięcie mechanicznego ucisku brzucha przez zbyt ciasną odzież. Recepta zatem nasza będzie następująca:

Rec. *Stosowny ruch* [1]) *na czystem powietrzu.*
Mocne oddychanie, [2]) *a szczególniéj głębokie wdychanie.*
Należyte wypróżnienia [3]), *lecz nie za pomocą środków przeczyszczających.*
Umiarkowanie i prostota w pokarmie i napoju [4]), *zwłaszcza pożywienia niepobudzające.*
Obfite picie wody [5]), *mianowicie ciepłéj.*
Swoboda brzucha. [6])

S. *Wykonywać to według możności w pięknej okolicy, w przyjemnem towarzystwie, i przy wesołém usposobieniu, ducha, w dali od zatrudnień obowiązkowych.*

Co do 1-go) Oprócz *przechadzki na świeżém powietrzu*, radzimy nadto: grę w kręgle, rznięcie drzewa, pracę ogrodową, gimnastykę nóg, wspinanie się na góry, oraz od czasu do czasu ugniatanie, uciskanie i opukiwanie brzucha, ruch tułowia (t. j. leżąc w znak, zwolna podnosić tułów aż do położenia siedzącego).

Co do 2-go) *Głębokie wdychanie* (rozszerzenie klatki piersiowej), wywiera dla tego wielki wpływ na obieg krwi w brzuchu, że przy niem krew (podobnie jak przy działaniu pompy) zostaje wessaną z wątroby do piersi, przez co, wszystka krew żyły wrotnej łatwiej może płynąć naprzód i wstępować do wątroby. Należy często podczas dnia, zwolna i głęboko wdychać dobre rozumie się powietrze. Z początku jednak, do rzeczonego wdychania trzeba się przyuczyć.

Co do 3-go) *Wypróżnienia* powinny mieć miejsce bez użycia środków przeczyszczających; jedynie, w razie bardzo uporczywego i dłużej trwającego zatkania stolca, można zastosować lewatywę (z ciepłej wody i nieco oliwy). Pożyteczne są także owoce i komputy owocowe, ułatwiające wypróżnienie jak np: śliwki, winogrona (lecz bez skórki i pestek) jabłecznik i t. p. Zresztą, należyte zachowanie podanych wyżej przepisów, zdolnem jest, bez żadnych innych środków pomocniczych, przyprowadzić zwolna stolec do normalnego stanu.

Co do 4-go) *Pokarm* nie powinien być zbyt obfity i tłusty, zbyt pożywny, niestrawny i sprawiający wzdęcie, palenie i draźnienie, — lecz prosty, łatwo strawny, niepobudzający; słowem, najlepsze są potrawy dobrze przygotowane po gospodarsku. Z napojów, trzeba unikać takich, co zawierają w sobie wyskok, (wódka, wino, i t. p.); lekkie piwo jest dozwolonem. Umiarkowanie, prostota, prawidłowość w pokarmie i napoju, stanowią połowę kuracyi.

Co do 5-go) *Obfite picie wody*, pomagając do rozrzedzenia zgęstniałej krwi w żyle wrotnej, wspiera obieg jej przez wątrobę. Tutaj to rzeczywiście przynosi woda nieoszacowane korzyści. Ażeby jednak nie zaziębić żołądka zimną wodą, lepiej jest pić wodę ciepłą, t. j. takiej temperatury, jakiej bywa zazwyczaj kawa lub herbata.

Co do 6-go) *Swobodne rozszerzanie się brzucha*, stanowi bardzo ważny warunek; jest ono koniecznem do obiegu krwi w jamie brzusznej. Trzeba więc wystrzegać się ciasnej odzieży (która szczególniej jest szkodliwą dla kobiet), oraz dłuższego siedzenia w postawie pochylonej (zwłaszcza wkrótce po jedzeniu); natomiast, wypada nosić zawsze odzież przestroną i starać się według możności o prostą postawę przy siedzeniu.

Korespondencyje Opiekuna Domowego.

Lwów, dnia 30 września 1875 r.

Lwów się odradza, odświeża i rozrasta, a źródłem jego rozrostu, oczywiście topograficznego, jego odrodzenia i odświeżenia naturalnie zewnętrznego, tem źródłem: wapno, piasek, woda i gips. Powstają nowe budowle, pokostują i blanszują się kamienice staruszki, pamiętające jeszcze niektóre wiek XVI-ty, słowem zaciera się do ostatka cecha miasta starego.

Już tylko kilka matron zgrzybiałych pozostało w rynku głównym, przy ulicy Ormiańskiej i kilka kościołów, a reszta, niby caca, niektóre nawet różowane (w tej barwie tynku kochają się osobliwie nasi bracia, po niechlujstwie chyba — Izraelici).

Daruje mi czytelnik, że muszę tu zrobić drugi nawias, nie ujęty w klamry, ale muszę. Mówię że Izraelici są bracią po niechlujstwie, ale do tego *nasi* i *nasze* nikt się nie przyzna, i słusznie, bo mowa tu o samorządzie komuny miejskiej. Ona to prześwietna i sławetna czuwać ma nad porządkiem i czystością miasta, że zaś jest to czuwanie rządu reprezentacyjnego, samorządne, niech zatem sama odpowiada za usterki takie jak dziurawe trotoary, kupy śmiecia i gnoju i ciemności nieraz egipskie, koło 9-tej wieczór.

Dawszy taką reprymendę sławetnej magistraturze miejskiej, z której ona oczywiście nic a nic sobie nie robiła, nie robi i robić nie będzie, wracam do odrodzenia i rozrastania się korpusu murów lwowskich. Prócz domów prywatnych, o których później: kończy się w bieżącym roku budynek na szkoły realne i gimnazyjum polskie czyli Franciszka Józefa, które dotychczas tulą się w komornem w murach ratusza i bernardyńskiego budynku. Na Nowym Świecie skończony zostanie także w bieżącym roku gmach dla akademii technicznej a z rokiem szkolnym 1876 w jesieni, będzie oddany na użytek oby jaknajliczniejszym adeptom zawodów niezależnych. Kiedy tak rośniemy wszerz co do obrębu murów, to może urośniemy i w górę, umysłem, wytrwałością i sercem, coby się bardzo zdało. Powiedziawszy o przybytkach naukowych wyższych i średnich, nie od rzeczy będzie wspomnieć i o dwóch niższych jeszcze. Świetna komuna oprócz budynku gimnazyjalnego zdobyła się na jeden jeszcze dla szkoły ludowéj, na przedmieściu Żółkiewskie; kończy się kosztem miasta szkoła zwana św. Marcina, ponieważ przy kościele tejże nazwy staje. Ludową nareszcie czteroklasową szkołę ewangielicką przeniosła też gmina do własnego budynku w roku bieżącym. Ten ostatni budynek został wzniesiony ofiarami i składkami czysto prywatnemi członków wyznania ewangielickiego. A jak raźnie wzięto się do tego, dość powiedzieć, że przed dwoma laty był dopiero projekt, dopiero podawano do władz o pozwolenie zbierania dobrowolnych składek, a tego roku wszystko już gotowe. Rączość tę w wykonaniu przypisać należy temu, że pomiędzy wyznawcami zreformowanej religii jest większa część Niemców, przynajmniej z rodu, a ci wiadomo, że nie potrzebują od nas kupować wytrwałości.

Dodajcie do powyżej wymienionych publicznego użytku budowli z pewnością setkę kamienic prywatnych i osądźcie, czy to nie nowa manija, jaką była przed kilku laty gra giełdowa? Nic jednak bez ale. Otóż pomimo, że przybywa co roku tyle a tyle mieszkań, ceny ich podnoszą się ciągle szalenie. Gdybyż to jeszcze każdemu dane było zamieszkać w nowym budynku, ale na to za mało nowych, a za dużo starych, na zewnątrz tylko, jak mówiłem, nablanszowanych i wyróżowanych. Ale co w środku, ale jakie ceny za ten blansz i róż, nie do wiary, ceny to bowiem nie praktykowane w żadnem z miast europejskich: za dwa pokoiki z kuchnią 30 guldeników! To nie wiele, panie dobrodzieju, powiada właściciel pierwszy lepszy. Gdybym tak miał, twierdzi na poparcie argumentu o taniości, gdybym miał tę kamieniczkę na ulicy Jagiellońskiej albo Majerowskiej, tobym wziął za te pokoiki miesięcznie 40 guldenów, ani grosza mniéj.

Trudna jak mówię rada na to, ale najsmutniejsza rzecz, że nie ma rady na niesumienność, i na nieuczciwość. Bo trudno to nazwać inaczej, gdy za rudery każą sobie płacić jak za najwygodniejsze apartamenta. Lament ten powszechny nieposiadaczy domów odzywa się coraz głośniej, alternatywa zaś taka:

— Nie jedz, nie pij, chodź boso i nago, ale płać nam dobrze za mieszkanie, jeźli co braknie to sobie kup, dziurawe drzwi, to sobie spraw, opadły ramy z okien, to dostaniesz u stolarza, wali się komin lub piec, to zawołaj mularza i zapłać mu; lub jeźli ci się podoba to siedź i w takiem mieszkaniu. Tylko jeszcze jedno, ja nie dam ani centa na restauracyję, bo nie proszę się z mojem mieszkaniem; nie ten, to inny, a zawsze ktoś najmie.

A potem wszystkiem, gdy się znalazł lokator i zrestaurował własnym kosztem, w nadziei, że zrobił dla siebie, to niezawodnie pan właściciel wymawia mu za miesiąc, bo ma innego lokatora, który, „daje mi więcej.“ Ależ ja miałem koszta — twierdzi nieszczęśliwy lokator. — A co mnie to obchodzi, daj pan więcej, to i pan zostaniesz, a nie to przyszle sądowe wypowiedzenie. Jakoż tak czyni i jeźli lokator wniesie zarzuty o koszta, odsyłają go na drogę procesu długo trwałego i najczęściej bezskutecznego; albowiem, smutna rzecz ale prawdziwa, pan domu znajdzie zawsze przekupnych świadków i kłamliwych taksatorów. I nie fakt to jeden, ale powszedni chleb, którym żywią we Lwowie szczególniej klasę średnią, najczęściej inteligentną, ciężko na chleb pracującą w biurach lub w szkole. Fortuna idzie we Lwowie w parze, ale nie z pracą, nie z rozumem, tylko z przewrotnością i z sobkostwem. Mają też sądy karne do czynienia aż po uszy, i długo zapewne potrwa ten okres robienia majątków na drodze zdzierstwa i przebiegłości, zanim obudzi się poczucie lepsze, zanim prawdziwa oświata obejmie szersze koła, licząc się dziś do inteligencyi dla tego, że mają tamtej potrzeby, chimery i nawyknienia a nie mają mimo to poczucia obywatelskiego. Coby to naprzykład powiedziano w Europie zachodniej, gdyby kupiec lub przemysłowiec, a nawet i rzemieślnik, głosił takie opinije o swoich pomocnikach kantoru, zakładu i warsztatu, z jakiemi spotkać się można we Lwowie na każdym niemal kroku... Brzmią one w ten sens: „Wiem ja panie, że ten szelma X. czy Y. kradnie, no ale kradnie przyzwoicie, nie zrujnuje mnie. To panie zwykła kolej, zacoby potem kiedyś otworzył zakład, musi kraść, ja sam panie byłem tem czem on dzisiaj i miałem zawsze *poczciwy* (?) jaki zarobek przy moim pryncypale — no a patrz pan, czyliżem go zrujnował? On dziś większy już pan i co mu to szkodzi, że i ja sobie teraz

na własną rękę prowadzę warsztat. Taka kolej już... i co tam, cały świat kradnie, żeby tylko nie skrzywdzić!“

Czy nie ohydniejsze to od najskrajniejszego komunizmu, a jednak świat taki, atmosfera, nie zmyślone, egzystują, mają przeróżne pretensyje i ambicyje nawet. Z tego świata wybierają obywatele lwowscy swoich reprezentantów do sławetnej komuny, radców, których obowiązkiem kontrola grosza publicznego. Tu często szwankuje mocno powaga sławetnych, szczególniej, gdy się zetkną z fachowymi urzędnikami komuny, nad którymi mają niby czuwać. Powaga ta wówczas obraca się w śmieszność i to zawsze, gdy w ważnej i głównej rzeczy na radzie poszli za głosem rozważniejszym czterech sążni, widział na oko nie przykładając miary do końca, ile trzyma każdy z bali, toż samo z grubością. Nie zdawała się dobrą taka, jak mówił pan kontroler szewc, „wiara na oślep“ i dawaj mierzyć samemu. Szło mu to niezręcznie i za długo, toż nareszcie oburzony budowniczy odzywa się z powagą na pozór: „Wie pan co, gdybyś wtrącał się przy odbiorze kamieni, toby mnie to nie dziwiło, bo jako szewc wiesz zapewne na jakich kamieniach zdziera się buty najprędzej, ale drzewo, drzewo!“... Roześmieli się obecni, sławetny rajca skonfundował i na tem skończyła się kontrola niedorzeczna. Tak tedy niewiara, podejrzenie, nieufność na każdym kroku, choćby mieli z aniołami do czynienia, ale jeźli ten biały nie wyjątkami i dla tego wyjątkowem jest jego położenie: Okres, z którego wyszły już społeczeństwa dojrzałe zupełnie, gdzie nie kilku za tysiąc myśli a resztę popycha do działania, ale każda jednostka niemal jest ważnym czynnikiem. U nas marnuje lub ściera się jeszcze wiele energii, sił na tej pracy, która rozprysnąć się musi na setne odnogi, gdyż brak w nich czynników z myślą. A i w tych szeregach bezmyślnych, nieruchomych, jeźli staje człowiek działający w imię dobra społecznego, to za myśl, za radę, znajduje zamiast poparcia i uznania tysiące przeszkód, podejrzeń i oszczerstw. Takie koleje przechodzi każde powstające we Lwowie stowarzyszenie, choćby statuta jego były najeżone jak częstokołem



Zbiór owoców jesiennych.

a później widząc, że są niczem, chcą przynajmniej w drobnostkach dowieść gorliwości i rozumu. Poleci, dajmy na to, Rada kilku panom rajcom, ażeby byli obecni przy odbiorze jakiego materyjału dla gminy, to lecą tam chętnie, ale zamiast czuwać nad trwałością rzeczy, doborem i liczbą ogólną, wchodzą w drobnostki na których się nie znają i zbierają śmiech tylko. Sam byłem świadkiem niedawno, jak wydelegowany do podobnej czynności szewc, obywatel miasta Lwowa, brał się niezręcznie i niedorzecznie do obowiązku. Przedsiębierca składał bale, których grubość i długość mierzył budowniczy miejski. Jako człowiek fachowy, zmierzywszy długość trzech do ma nabitej kieszeni, to „hołysz mocidzieju, a zatem złodziej panie, bo z czegoby to żyło.“ Ale za to nepotyzm najobrzydliwszy tam, gdzie rzeczywiście idzie o znaczne kwoty: wszystkie ważniejsze i zyskowniejsze przedsiebierstwa choćby ze szkodą gminy bierze zawsze familija. Jest i na to pewna zasada, argument dosadny: „Po co to ma zabierać jakiś przybłęda, jakiś hołysz (a takim każdy, co choćby przybywał z za rogatek lwowskich), po co kiedy to może zostać między naszymi; taki co swój, to swój, a to wszystko nasza praca.“

Nie są to bez wątpienia dodatnie strony, ale przeciwnie, to też społeczeństwo trzyma się obwarowaniami i zastrzeżeniami. Ile to było naprzykład krzyku i zgorszenia w zastępie zacofańców, gdy we Lwowie podniesiono myśl założenia towarzystwa pracy kobiet. Huknęła najprzód prasa ultramontańska, że towarzystwo to będzie arcyheretyckie, ponieważ, o zgrozo! przypuszcza i córy Izraela do współudziału. I nie przestano się oburzać, dopóki nie zmodyfikowano odnośnego paragrafu. Towarzystwo to, dzięki energiczniejszem założycielkom utrzymało się jednak i dziś zapewnia już utrzymanie wielu kobietom.

Jedno tylko towarzystwo cieszy się względami sfer arystokratycznych, o reszcie wiedzieć nie chcą, ale jedno wyjątkowe „damdo-

broczynności," to co innego. Nie poczytuje sobie za obowiązek zdawać rachunku ze swoich czynności, o czem pisałem już, zeszłego roku, ale dla czego? Obecnie wiem już dla czego stoi po nad opinią publiczną. Towarzystwo to pseudo-arystokracyi galicyjsko-austryjackiej nie wstydzi się żebrać, chodzić po kweście pomiędzy motłoch, ażeby potem grosz tym sposobem wyłudzony, rozdawać próżniakom i utracyjuszom.

Pańska żebranina odbywa się pod hasłem: „na wstydzących się żebrać," a rozda je ludziom wstydzącym się nieżebrać, ale pracować. Tamci tymczasem, którzy służą za parawan, zbierają od pań i dam komitetowych morały i trzy kwitki na tydzień na trzy funty krup lub mąki...

Ale dość tych faktów, aczkolwiek nie bardzo pocieszających, wszelakoż nie tak znowu smutnych, bo gdzie się podnoszą przybytki nauk, rzemiosł i sztuk, to jest usprawiedliwiona nadzieja, że lepiej będzie. Do rzędu zakładów, których nie wyliczyłem na wstępie, przybywa jeszcze zakład w Drohowyżu, w powiecie Żydaczewskim. Fundacyja to hr. Stanisława Skarbka, wchodząca nareszcie w życie. Stanął już gmach, choć nie cały jeszcze, a już objętością dorównywający budynkowi teatru lwowskiego. Na razie otwarty będzie zakład dla 600 sierot, które pobierać tam będą nauki i uczyć się rzemiosł; dyrektorem został mianowany pan Julijusz Sztarkel. Zwierzchniczą opiekę nad zakładem ma oprócz kuratora księcia Jabłonowskiego, wyłącznie Wydział krajowy. Skoro mi czas pozwoli, nie omieszkam zbiedz na miejsce do Drohowyża, bo mil to kilka ze Lwowa, i opiszę bliżéj ten niezawodnie bardzo ważny zakład. Cóż to bowiem za różnica: sześćset sierot, sześćset głów, zmarnowanych, lub co gorzej straconych nieraz dla społeczeństwa, a sześćset dusz, nakarmionych światłem wiedzy, pokierowanych do zawodów praktycznych przez światłych i zdolnych nauczycieli.

Nie tak za to podniośle, choć może wesoło wyglądają mury teatru, założonego przez tegoż czcigodnego fundatora hr. Skarbka. Od czasu restytucyi dyrekcyi dawniejszej, to jest od objęcia jej przez pp. Dobrzańskich, repertoar prawdziwie Szekspirowski!! naprzykład: Girofle i Girofla, Córka straganiarzy, Dwaj złodzieje, Tricoche i Cacolet i szereg innych hec niemieckich znowu, z podlewą miejscowych niedorzeczności i z tytułem z bruku lwowskiego. Dobra to rzecz wprawdzie śmiech i trosk zapomnienie, ale czyż to racyja, dla któréj Melpomena ma przywdziać już raz na zawsze czapkę pjacowską czy to jéj zadaniem? jak śmiech tak i ból ma swoje prawa, ten drugi kto wie czy nie możniejsze. Można wprawdzie zasłonić się gustem publiczności, ależ bo i smak wyrabia się nie ślepem schlebianiem, ale stosownym wyborem, a tu bez wyboru, byle farsa, to i dobra, a o poważniejszym choć trochę kierunku ani się nie myśli. Mamy kilka talentów wcale nie do pogardzenia, jak pani Nowakowska, Deryng, Woleńska, Ładnowski, Fiszer, Zboiński, ale i te zmarnieją, jedne nie użyte wcale, a inne używane tylko do ról Tereferciów. Nie można powiedzieć, żeby dyrekcyja nie starała się o nowości, o gościnne występy, ale to wszystko wyłącznie w kierunku jednostronnym. Dramat, a zatem życie na seryo i przejawy jego, jakby nie istniały dla dyrekcyi. Występowała tu w kilku operach pani Wanda de Bogdani, która zasłynęła nietylko z talentu, ale i z procesu głośnego w Wiedniu, występowała tą razą z mniejszem powodzeniem. Po jéj wyjeździe, opera pozbawioną została znowu primadonny. Publiczność jednak nie uczuje tego i nie poskarży się na brak, bo jak na teraz farsy i operetki zastąpią wielką operę. Nie może się zresztą Lwów skarżyć na brak hecek w ogóle, zaledwo wyjechał jedną rogatką pan Kahlenberg z menażeryją, w któréj nie było wielu rzeczy, jakie być miały, a właściwie były, jak mówił Niemiec — tylko to trzeba umieć patrzeć —otóż ledwo się wyniósł, a jużci przez rogatkę od wschodu nadciągnął pan Suhr z końmi, sylfmi skaczącemi przez obręcze, z nimfą, która toczy kulę i spaceruje zręcznie na niéj, z trefnisiami i końmi, które mogłyby tańczyć kontredansa w najpierwszym salonie i tańczą go rzeczywiście. A, a jeszcze— byłbym zapomniał, jak to Niemiec ogłasza — oto: „Kadryl jeżdżony z manewrem przez ośm panów do ośmiu dam". a potem „człowiek latający i pan Almasio w komicznej scenie z osłem" i t. d. i t. p. Czyliż to nie dosyć przeczytać takie ogłoszenie? Ja też korzystam z tego, czytam i ubawię się doskonale nie, będąc w cyrku.

Przybyło i nowe pismo codzienne p.t. „Goniec Lwowski," który, nie wiem ażali co ugoni, bo że uroni, to niezawodnie kilka tysięcy na druk i papier. Trudno co powiedzieć o tej bodaj, żeby nie efemerydzie nowej. Drugie to już z cechą czysto miejscową, pismo, jedno bowiem, „*Kuryjer*" istnieje od końca roku ubiegłego i dogadza jak może publiczności, a jednak nie może rozbudzić ochoty do czytania. Wzięły się za ręce bieda z lenistwem i zabijają wszelką ciekawość. Ludzie piśmienni i zamożni często, nie przeczytają ogłoszenia w dzienniczku, choć by ono tyczyło się najbliższych interesów mieszkańców miasta, ale idąc pytają gawiedź uliczną, co to tam „wybębniali"—taki bowiem tu zwyczaj, że ważne sprawy np. o porządku na ulicy, o psach bez znaczków — ogłasza komuna przez usta pachołka, zwołującego muzyką bębna uszy chętne ku słuchaniu.

Skarżą się też żałośnie księgarze i wydawcy na tę obojętność mandaryńską, ale cóż to pomoże — nie ciekawiśmy i — rozumni. Mimo to przybywa niebawem jeszcze jedna nowa księgarnia, a założycielem jéj jest literat p. Zawadzki Władysław: księgarnia spółki literackiéj. Chociaż życzymy jéj czytelników milijon — musimy powiedzieć: zobaczymy. Zresztą zmieniają się czasy, może też i publiczność galicyjska pomyśli o zmianie gustów, a może przyjdzie jej to niespodzianie i ani się opatrzy, jak zacznie być rozrzutną na książki, czasopisma polityczne i literackie a może i naukowo-literackie. Gotów jestem prosić szanowną redakcyją Opiekuna Domowego, żeby pozwalała ogłaszać drukiem każdego nowego prenumeratora i czytelnika w Galicyi i naprzód ręczę w szystkim, urodzonym już i posiadającym sztukę czytania a nie czytającym, że skutek prośby będzie dobry, i że imiona ich podane zostaną potomności, jako pionierów czytelnictwa w puszczy głów niezajętych tą piękną uprawą umysłów...

T. S.

Sieradz, Październik 1875 r.

Exempla docent, mówi łacińskie przysłowie. I rzeczywiście, wieleznaczące te słowa o Sieradzu pod każdym względem mogą być wypowiedziane, bo emancypuje się on w całem znaczeniu tego wyrazu: Jak w stolicach, [wielkich i większych miastach europejskich, tak samo na naszym partykularzu, od pewnego czasu można poznać, iż owa tak nazwana *saison morte* już ustąpiła. Pacyjenci popowracali z zagranicznych *badów* na leże zimowe do swych ognisk domowych; ale to szczególne i niezwykłe, że słabszymi jeszcze powrócili. W istocie, znam kilka osób, które po wodach krajowych, lepszem aniżeli miłośnicy wód zagranicznych cieszą się zdrowiem; ostatni bowiem pokładli się w łóżka, a przed nimi sto lekarz piszący recepty.

Mówiąc o lekarzach, a chcąc niniejszej korespondencyi nadać łańcuchowy charakter, czuję się w obowiązku wspomnieć o stanie sanitarnym miasta i okolicy. Panującą chorobą między dziećmi jest obecnie szkarlatyna czyli tak zwana płonica, która wiele ofiar zabiera. Starszych wiekiem męczy dychawica (astma), a ten, co dostał się dusicielce tej w sidła, niczym innym jak tylko życiem przypłacić musi, bo to staw na jéj młyn właśnie. Także choroby piersiowe i inne dają się słabowitym we znaki — a to wszystko, wyłącznie pochodzi od zaziębienia. Przy największej ostrożności bardzo łatwo można się w tych czasach zaziębić. Deszcze w naszych stronach padają niezrzadka, i barometr ciągle spada; sprawdza się tu już u nas do joty chłopska zasada, że: na wiosnę z szaflika wody — łyżka błota, w jesieni zaś, z łyżki wody — szaflik błota.

Z materyjałów tuż przedemną do zakomunikowania wam zgromadzonych, któreby z deszczem ściśle były związane, traktować będę o projektowanej straży ogniowej, zwłaszcza, że takowa bez wody obejść się nie może. Z nastaniem jesieni same tylko projekta nas obchodzą; oddawna nie pamiętamy takiego jak obecnie ożywienia w projektomanii. Z pośród owych projektów, projekt uorganizowania straży ogniowej ochotniczej w Sieradzu główną odgrywa rolę i wszystkich prawie zajmuje, i jak mamy nadzieję za sprawą szan. burmistrza miasta i innych ludzi dobrej woli, nie długo się w szatę czynu przyoblecze. *Pro bono urbis est, dum ludere videmur.*"

Projekt ustawy dla straży o jakiej mowa, w tych dniach wysłany stąd już został dla zatwierdzenia wyższej władzy. Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia ważniejszych punktów w tym krótkim, lecz wybornie opracowanym memoryjale zawartych. Ustawa cała zamyka się w 17 paragrafach: Członkiem rzeczywistym może być każdy mieszkaniec Sieradza, nienagannego prowadzenia, liczący najmniej 18 lat wieku. Członkowie rzeczywiści nie są obowiązani do żadnych składek i ofiar. Członkowie honorowi płacą przy wstąpieniu do straży jednorazowo najmniej rubla, oraz rocznie najmniej dwa ruble. Każdy członek rze-

czywisty, o ile się na to zgodzi, ma sprawić swoim kosztem: bluzę płócienną, pas skórzany z haczykiem, i kask, wszystko według wzoru straży ogniowej kaliskiej. Niezamożni dostaną to wszystko od zarządu. Ilość mogących być bezpłatnie umundurowanymi nie może przenosić liczby 30-tu. Członkowie rzeczywiści rozdzielają się na pięć oddziałów. Nie stawiający się członek rzeczywisty bez przyczyn ważnych do obrony w czasie pożaru, jakoteż na ćwiczenia, poddaje się karze na korzyść kasy straży od 15 do 50 kop. Członkowie wybierają radę zarządzającą na lat trzy, mającą się składać z prezesa, dyrektora, sekretarza, kasyjerą i dwóch brandmajstrów. Przedewszystkiem zarząd powinien zaopatrzyć się: w 30 kasków, 30 pasów skórzanych z haczykami, 15 toporów, 30 latarń, 30 bluz płóciennych zapaśnych, 30 węborków, 4 łomy i kilofy, 4 żelazne łopaty, 4 amerykańskie topory, 10 ochronnych lin, 1 ochronny worek, 3 sygnałowe trąby, 1 sygnałowy dzwon i 1 wóz do przewózki wszelkich przyrządów. Magistrat miasta Sieradza obowiązany jest oddać zarządowi: 1° wszystkie posiadane narzędzia do gaszenia pożarów, jakoto: sikawki, beczki, węborki, drabiny i t. p. 2° wszelkie fundusze przeznaczone, w etacie na utrzymanie tych narzędzi. Fundusze straży tworzą się: a) z ofiar dobrowolnych, b) ze składek członków, oraz c) z kar.

Pierwszą połowę mojej korespondencyi ściśle o ile potrafiłem, złączyłem. Dalej... ani rusz! Wybaczy mi więc łaskawy czytelnik, gdy teraz wspomnę o innych przedmiotach, nie pozostawających zupełnie z powyższymi w związku. Zacznę od szkoły.

Przedewszystkiem zaznaczam, iż szkoła ta ma mniej o 25 wychowańców niż w przeszłym roku a trudno odgadnąć dla czego tylu jej ubyło uczniów. Kompletu stałego nauczycieli nie masz, ciągle następują zmiany, a obecnie z powodu śmierci ś. p. Alojzego Łukawieckiego, język niemiecki czeka następcy. Przewodniczący w szkole p. Latour wykłada we wszystkich klasach język rosyjski, p. Adelsberg francuski i polski (w wyższych klasach), p. Kaczyński: język łaciński, grecki i niemiecki, p. Kasper Tosio wykłada we wszystkich klasach matematykę, p. Konopka [1]) język polski, kaligrafiją i rysunki, i nareszcie p. Kolski (bezinteresownie, co należy pochwalić) wykłada gieografiją i historyją powszechną we wszystkich klasach. Szkoła stara się o nauczyciela języka niemieckiego, któryby zarazem mógł wykładać naukę religii uczniom wyznania mojżeszowego; z tego więc powodu o pomoc i radę w tej rzeczy odniesiono się do redakcyi „Izraelity.“

W dniu 24 sierpnia r. b. przybyło do nas z miasta Łodzi towarzystwo artystów dramatycznych pod dyrekcyją pana J. W. Łuby. Wszystkich przedstawień dano 16-cie (17 nie przyszło do skutku). Odegrano następujące sztuki: Śluby panieńskie czyli Magnetyzm serca, Marcowy kawaler, Robotnicy, Kuzynki, Mąż na wsi, Polowanie na męża, Adam i Ewa, Przez zazdrość (dwa razy), Za pozwoleniem łaskawa pani, Zosia druchna, (dwa razy). Fimmina, Broń niewieścia, Konkurunt i żona, Sto za sto, Balowe rękawiczki, poczem wierszyk dźwięcznym głosem wypowiedziała p. Rudnicka. Podstęp pana kapitana, dwa razy), przyczem śpiew: „Murzynka“ (odśpiewała dwa razy pani Rudnicka), Piosnka Wujaszka, Otelo, Zuzanna i dwaj starcy, Cicha woda brzegi rwie, Czuła struna, Kobiety z kamienia, Ciężka próba, Posażna jedynaczka, Zbudziło się w niej serce, 5-ty akt z tragedyi Szyllera: „Zbójcy,“ Portrety kochanką i męża, Pozytywni, Ciekawość pierwszy stopień do piekła, przyczem „Opowiedz jej,“ romans (odśpiewała pani Rudnicka). Oprócz tego trzy razy odtańczony został mazur 4 pary, układu zdolnego baletnika, pana Zygmunta Sztek; panna Wanda Wesołowska, 13 lat licząca, odtańczyła polkę-węgierkę i mazura Mierzyńskiej. Pożegnalne przedstawienie, zakończyła komiczna galopada, odtańczona przez wszystkich członków towarzystwa, przy rzęsistem oświetleniu bengalskimi ogniami. Towarzystwo, które wedle przyrzeczenia mile wspominać będzie Sieradz, odjeżdża już do Kalisza. W trupie tej celują grą wcale dobrą: pp. Werner, Siedlecki, Wł. Łuba, Szeder, Mikulski i Zbrożek (komik). — panie Mikulska, Rudnicka i panna Ruszkowska.

W dniu 14 września r. b. we wsi Wągczewie, o dwie mile od Sieradza, ks. proboszcz tamecznej parafii, Rogoziński, uroczyście obchodził 50-letni jubileusz kapłański. Oprócz parutysiącznego tłumu ludu, całe prawie duchowieństwo powiatu złożyło szczere życzenia sędziwemu i powszechnie szanowanemu jubilatowi i solenizantowi.

Chodzą wieści, iż p. Polikarp Kozerski, tutejszy obywatel, posiada skorowidz o przywilejach dawnych Sieradza, do Głównego Archiwum w Warszawie. Wartoby coś o tem pomyśleć, albowiem pan K. wyegzekwował już podobne przywileje niektórym miastom, jak np. Kielcom, Radomiowi, Łęczycy, Brzezinom w 1862 r. Łodzi i t. p., a mieszkańcy wszystkich tych miast, ciągną obecnie z przywilejów korzyści.

W listopadzie lub grudniu, mają w Sieradzu być dane przedstawienia teatralne amatorskie. Później odbędą się odczyty publiczne.

Maksymiljan Kempiński.

[1]) W tej chwili dowiaduję się, iż p. Konopka na zawsze opuścić musiał Sieradz; zastąpi go tymczasem p. Wolff, pomocnik nauczyciela szkoły elementarnej męzkie.

Ruch w przyrodzie.

Czy wiedza prowadzi do nihilizmu? Prawa ruchu. Przetwarzanie się ruchu w ciepło. Praca mechaniczna. Skąd czerpią siłę zwierzęta. Ocena siły użytkowej w machinie ludzkiej i w parowej. Przekształcenia siły w przyrodzie. Perpetuum mobile. Ruch siły cieplikowej. Chemiczne wpływy słońca na świat roślinny. Oddziaływanie siły słonecznej i księżycowej na morze. Pomniejszenie chyżości ruchu obrotowego ziemi. Powiększenie dnia o jedną sekundę w upływie 162000 lat. Smutny horoskop dla przyszłych mieszkańców ziemi.

......Wieku bez jutra—wieku bez przyszłości — co nad, przepaścią stanąłeś ponury. Nauczycielu zgrozy i nicości coś wziął ludzkiego ducha na tortury. Szyderstwem żegnasz w męczarniach ginących — śląc im do grobu te słowa najkrwawsze: *Stracone wszystko, giniecie na zawsze.*

Taką to straszliwą apostrofę zwraca Asnyk do bieżącego wieku, dumnego tyloma wynalazkami, które unieśmiertelniły gienijusz człowieka. Czy wiedza dzisiejsza prowadzi do nicości, jako ostatecznego rezultatu życia? Oto kwestya, którą przy rozpatrywaniu ruchu we wszechświecie chciałbym choć pobieżnie podnieść. Nauki przyrodnicze, pomimo olbrzymiego ich rozwoju, nie zdobyły się dotąd na żaden poważny system filozoficzny, zaprzątały się jedynie analizą świata zmysłowego, gdyż sama tylko materyja mogła stanowić przedmiot ich badań. Na tej drodze wiedza wykryła proces przetwarzania się materyi, wyjaśniła mnóstwo zjawisk z nią zjednoczonych, wkroczyła nawet w hypotezy dotyczące pierwocin życia, lecz nie sięgnęła do przyczyn ostatecznych, które pozostały i pozostają dotąd sfinksem, nieprzystępnym wszelkim w tej mierze pokuszeniom. Z protoplazmy (zarodzi), powiadają nam myśliciele przyrodnicy, powstało życie organiczne, a pierwotnym jego rodnikiem były z morza—z mgławicy zrodziły się planety; pozostaje przecież dotąd nierozwiązanem pytanie, z czego wytworzyła się owa protoplazma w łonie oceanu pierwotnego—z czego powstały atomy mgławicy? Teoryja samorodztwa nie może w tym razie nic objaśniać, bo końcem końców nikt nie wytłómaczy nam, zkąd się wzięły owe siły fizyko-chemiczne, za wpływem których poczęło kiełkować życie. Jednem słowem wiedza przyrodnicza pomimo swych odkryć wielce doniosłego znaczenia, nie objaśnia nam ani zawiązku jestestw, ani zawiązku światów. A jednak kwestyje te w najwyższym stopniu muszą zajmować umysł każdego myślącego człowieka — prosta logika powiada mu, że wszelki skutek musi mieć swą przyczynę, że wszelki rozwój musi dążyć do pewnego celu, gdyż inaczej rozwój ten nie miałby żadnej racyi bytu. Niektórzy przecież przyrodnicy apostołują bezcelowość, panować mającą w całej przyrodzie; inni nie zaprzątają się wcale tym przedmiotem, jako nieodpowiednim obecnemu stanowi nauki, nie dającym się pomieścić na szalkach analitycznych, ani pod mikroskopem. W obec takich dążeń, usprawiedliwiających poczęści bolesne orzeczenie Asnyka, nie dziw że myśl ludzka szuka węzłów między wiedzą naukową, a religią, że stara się ostać na gruncie, jaki jej z pod stóp wydzierają Häckel, Büchner, Moleschott, Vogt i inni tego pokroju uczeni. Nicość miałażby być ostatecznym wynikiem życia? nihilizm w swej szpetnej postaci byłżeby jedynym racyjonalnym dogmatem filozoficznym? Na takie poglądy trudno zgodzić się ludzkości, której wiekowe prace opromienił świetną aureolą postęp, wskazując tem samem jej dążność do pewnych a pewnie wyższych celów, nad zwierzęcą misyją zachowania gatunku. Ztąd też powstał zastęp takich przyrodników, jak niedawno zmarły Agassiz, Flammarion, Quatrefages, Secchi, wreszcie Virchow, odrzucających bezcelowość w przyrodzie i walczących ze szkołą nowatorów. Walka ta trwa dotąd, i nie można jeszcze przesądzać, kto zwycięży; wszakże nie możemy pomijać, że zdobycze nauki dalekie są jeszcze od popierania ateizmu. Okazały one między innemi prawdami, że materyja jest nieśmiertelną, gdyż żadna jej cząstka ginąć nie może, że również nie może ulegać zniczestwieniu żaden atom siły; są to już pewne, światła objaśniające ciemnię wątpliwości, pewne nawet węzły, mogące łączyć

w przyszłości świat materyjalny z duchowym. Bądź co bądź niepodobna nam przyjmować, aby nicość była zadaniem życia, aby zero stanowiło sumę wspaniałych, milijonowych jego zjawisk. Życie jest ruchem, a więc rozwojem, dążącym do pewnych celów. Jeżeli ów rozwój przejawia się nietylko w kształtach fizycznych jestestw, ale nadto w ich umysłowej organizacyi, to widocznie i cele te muszą odpowiadać i temu ostatniemu rozwojowi moralnemu, nie zaś ograniczać się do funkcyi wydania potomstwa. Słowem rozwój nasz umysłowy wskazuje jakiś cel podnioślejszy usprawiedliwiający byt człowieka na ziemi.

Wszystkie te względy wystarczać nam winny do odrzucenia poglądu, poczytującego wiedzę przyrodniczą, za wiodącą jedynie do nihilizmu.

Po tych kilku uwagach, jakie sądziliśmy za konieczne przytoczyć, przystępujemy do rozpatrzenia się w prawach ruchu i jego przejawach.

Wszelkie zjawisko opiera się na dwóch podstawach: *materyi* i *ruchu* — możemy wyobrazić sobie materyją pozbawioną, ruchu, lecz niepodobna nam pojąć ruchu odosobnionego od materyi. Znamy prawa ruchu, nie wykryliśmy jednak dotąd jego zasady; z tego też względu, dla jaśniejszego określenia ruchu, zwrócono się do jego przyczyny, nazwanej *siłą*.

Materyja nie ulega zniszczeniu. Jeżeli ogień pochłania jakie ciało, jeżeli ulatnia się woda, zapełniająca naczynie, to cząstki tego ciała i wody nie giną, a tylko rozpraszają się w przestrzeni, i gdybyśmy je starannie zebrali, znaleźlibyśmy całkowity ich ciężar bez najmniejszego ubytku. Czy ruch podobnież nie ginie? Poprzestając na ocenie wielce pozornej naszych zmysłów, widzimy, że ciało w ruch wprowadzone, uderzając o jakąkolwiek przeszkodę, przechodzi w stan spoczynku, a zatem ruch utraca. Dokładniejsze przecież zbadanie tego zjawiska, przekonywa nas, że siła wywołująca ruch nie ginie w tym razie, ruch tylko przetwarza się, przechodzi w inną siłę. Bila bilardowa najmocniej uderzona po pewnym czasie ruch utraca. Kula działowa prochem wyparta, biegnie nierównie dalej, lecz również po upływie pewnego czasu zatrzymuje się. Dla czegóż to nastąpiło? Oto z przyczyny bardzo prostej: bila i kula napotkały *opór*, który gdybyśmy usunęli, ruch trwałby do nieskończoności. Na tem opiera się *prawo bezwładności*, według którego, *wszelkie ciało samo przez się nie może przejść ze stanu spoczynku w ruch, ani z ruchu w stan inny.*

W rzeczy samej, w każdej chwili możemy sprawdzić, że ciało pozostające w spoczynku, samo przez się w ruch przejść nie może; odnośnie zaś do przechodzenia ciał z ruchu w stan inny, możemy sprawdzić to prawo jedynie przez indukcyją. W rzeczy samej, jeżeli nie możemy usunąć przyczyn ruch osłabiających, to przecież jesteśmy w stanie opory te złagodzić, a tem samem ruch przedłużyć. I tak kula toczyć się będzie dłużej po lodzie niż po ziemi, wahadło zegarowe pomieszczone w powietrzu rozrzedzonem, doznając mniej tarcia, ruchy swoje odbywać będzie dłużej.

Prawo bezwładności przejawia się i w przestworach niebieskich. Ruchy gwiazd, sprawdzane od dwudziestu wieków, nie uległy żadnej znaczącej zmianie, gdyż ciała te poruszają się w ośrodku, wielce zbliżonym do próżni, w której tarcie nie może zachodzić w tym stopniu, aby wpływało na zmianę w ich chyżości, stąd też astronomowie mogą z całą dokładnością oznaczać położenie wszelkiej gwiazdy w chwili danej.

Zmiany zachodzące w ruchu ciał niebieskich, pochodzą niewątpliwie z przyczyn zaburzających porządek, jak to miało miejsce w chyżości komet Enckego i Fayea. Czas ich obiegu zmniejszył się, a postać ich orbity więcej zbliżyła, do koła.

Encke, objaśniając to zjawisko przyjmował, że przyspieszenie biegu komety noszącej jego nazwę, pochodzi z ośrodka więcej oporowego, zapełniającego przestwory niebieskie. Astronom zaś Faye przypuszczał działanie siły odpychającej, opóźniającej bieg jego komety.

Działanie tej siły byłoby więc tu proporcyjonalnem do powierzchni, nie zaś do masy ciała i wyjaśniałoby wytwór warkoczy kometarnych w kierunku przeciwległym słońcu. Cokolwiek bądź, jakaś obca przyczyna wpływać musi na przyspieszenie biegu komet wyżej wspomnianych.

Gdy spostrzegamy ciało ruch utracające, przedstawia się nam naturalnie pytanie, z jakiej przyczyny ruch przestał się przejawiać. Doświadczenie okazało, że opór ruch powstrzymuje, oraz że w tym razie zawsze wywiązuje się pewna ilość ciepła, zatem że ruch zmienia się w ciepło.

Prawda ta należy do zdobyczy naukowych bieżącego wieku—nie ma już dziś żadnej wątpliwości, że ruch przetwarza się w ciepło, *a to w stosunku oznaczonym i niezmiennym*, zachodziła tu wszakże jedna trudność, a mianowicie: jaki element ruchu może posłużyć do wymiaru jego ilości?

Ciało w ruchu będące wyrażonem być może przez swój ciężar i przestrzeń, jaką przebiega w jednostce czasu, a więc ilość ruchu wymierza nam jego *chyżość*.

Widocznem jest, że ciepło wytworzone w skutek powstrzymania ruchu, powinno być proporcyjonalne z ciężarem ciała. W rzeczy samej dwa ciała, ożywione jednakową chyżością wytwarzać muszą dwakroć większą ilość ciepła niż jedno ciało. Co się tyczy chyżości, to naturalnie ciepło, wytworzone w skutek ustania ruchu, jest tem wyższe, im chyżość jest większą. Nie możemy jednak *a priori* orzec, czy to ciepło będzie jak najściślej proporcyjonalne z chyżością. Wiemy to tylko, a raczej mamy zasadę przypuszczać, że to ciepło powinno być proporcyjonalnem z wysokością jakiej dosięgłoby ciało, będąc rzucone w próżni pionowo w górę z tąż samą chyżością. Owoż doświadczenia najzupełniej potwierdziły to przypuszczenie, okazały bowiem, że ciało, tracąc ruch, wytwarza ilość ciepła najdokładniej proporcyjonalną z ciężarem ciała pomnożonym przez wysokość do jakiej ono sięgnęłoby po wyczerpaniu swej chyżości. Iloczyn ten w mechanice nazwano *pracą*.

Wypada nam tę nazwę wyjaśnić.

Przypuśćmy że człowiek ma za pomocą sznura podniesie ciężar 20 kilogramów do wysokości 10 metrów. Widoczną jest rzeczą, że praca, jaką ten człowiek rozwinie, wyrównywać będzie tejże samej, jaką by spełnił podnosząc 200 kilogramów, do wysokości jednego metra.

Pracę zatem tego człowieka wymierzać będzie ciężar 20 kilogramów, pomnożony przez wysokość 10 metrów, czyli co na jedno wychodzi — ciężar 200 kilogramów pomnożony przez jeden metr wysokości. Owoż mechanicy zgodzili się nazwać *kilogrametrem* pracę jednego kilograma, podniesionego do wysokości jednego metra, co przyjmując, pracę człowieka w przykładzie podanego, wyrazi nam 200 kilogrametrów.

Wszelkie prace dokonywane narzędziami i machinami, redukują się ostatecznie do podniesienia ciężaru do pewnej wysokości, i mogą być oceniane liczbą jednostek ciężaru podniesionych do jednostki wysokości. Stąd też praca mechaniczna posługuje jako zasada do oszacowania robót spełniających się w praktyce. Dla oznaczenia liczebnego stosunku jaki zachodzi pomiędzy pracą wymierzoną kilometrami a ciepłem, potrzeba nam wskazać w jaki sposób wymierzamy toż ciepło. Jednostką porównywawczą tu posługującą, jest ilość, ciepła doprowadzająca do jednego stopnia ciepłomierza stustopniowego, kilogram wody posiadający temperaturę zero. Ilość tę nazywamy *jednostką cieplikową*. I tak gdy mówimy, że jeden kilogram węgla, paląc się wydaje 7,500 jednostek cieplikowych, oznacza to, że jeden kilogram węgla płonąc, może ogrzać 7,500 kilogramów wody, i podnieść ją od punktu, w którym lód topnieje, do jednego stopnia temperatury.

Doświadczenia Joule'a i innych fizyków dowiodły, że ruch znikając, rodzi ciepło, w stosunku jednej jednostki cieplikowej na 425 kilogrametrów. I tak ciało ważące kilogram, ożywione chyżością wyrównywającą tej, jakąby nabyło spadając w próżni z wysokości 425 metrów, utracając ruch, wytwarza ilość ciepła równą jednej jednostce cieplikowej. Liczba 425, przedstawia nam to, co nazywamy *równoważnikiem mechanicznym ciepła*. Gdy ruch znikając wytwarza równoważnik ciepła, powiadamy, że ruch czyli praca posługująca do jego wymiaru, przetwarza się w ciepło. W jaki sposób następuje to przetwarzanie się nie wiemy, możemy jednak przypuścić, że ruch gasnąc wprowadza molekuły ciała w wibracyje, w skutek czego ono ogrzewają się. Ruch wytwarza ciepło, i odwrotnie ciepło rodzi ruch i pracę mechaniczną.

Wszakże pomiędzy zamianą ruchu w ciepło, a zamianą ciepła w ruch, zachodzi ważna różnica. W pierwszym razie cała praca mechaniczna przetwarza się w ciepło, w drugim zaś, część tylko ciepła zmienia się w pracę mechaniczną, reszta zaś jego ilości jest straconą.

We wszelkiej machinie termicznej zawsze pracę otrzymujemy w skutek rozszerzania się ciała, które przyjmuje pewną ilość ciepła i odstępuje inną mniejszą jego ilość, posługującą do poruszania mechanizmów. Różnica między temi dwiema ilościami, zawsze bywa straconą dla machiny. Inny przykład zamiany ciepła w pracę, podaje nam organizm zwierzęcy. Dziś już nie uważamy ruchów zwie-

rzęcia za skutek siły specyjalnej, zwierzę bowiem nie posiada żadnej władzy tworzenia choćby najmniejszej ilości pracy mechanicznej, lecz tylko zarządza pracą, wytwarzaną pod wpływem procesów chemicznych, zachodzących w jego organizmie.

Źródło pracy, dokonywanej przez zwierzęta, mieści się w pokarmach, przez nie spożywanych, a posługujących im do utrzymania życia.

Pokarmy te stanowią materyjał opałowy, który po ich strawieniu i wprowadzeniu do krwi, ulega powolnemu paleniu się i wytwarza, łącząc się z tlenem atmosfery, związki podobne tym, jakie powstają w naszych ogniskach.

Ciało zwierzęce przypomina nam najzupełniej machinę parową. W machinie tej suma pracy pozyskanej i ciepła udzielanego ciałom otaczającym, jest proporcyjonalną z ilością zużytego węgla. W zwierzęciu podobnież praca przezeń spełniana i ciepło utracane, pozostają w pewnym oznaczonym stosunku do utleniania się związków, wchodzących do jego organizmu.

Gdy człowiek podnosi ciężar, ponosi ubytek na wadze większy nierównie od tego, jakiby nastąpił gdyby nie oddawał się tej pracy. Ubytek powyższy dopiero wówczas zapełnionym zostaje, gdy człowiek przyjmuje ilość pożywienia proporcyjonalną do tej straty.

Gdy człowiek pozostaje w spoczynku, wszelkie akcyje chemiczne spełniające, się w jego ciele, redukują się ostatecznie do wytworzenia ciepła, potrzebnego dla utrzymania stałej temperatury jego ciała, dochodzącej 37 stopni Celsyjusza. W czasie ruchu człowieka, część tylko skutku akcyj chemicznych przetwarza się w ciepło, pozostała zaś część zmienia się w pracę mechaniczną.

Ponieważ zwierzę nie posiada władzy tworzenia pracy mechanicznej, lecz ta wytwarza się z pokarmów, przez nie spożytych, wypływa stąd, że dzieląc pracę spełnianą przez zwierzę w ciągu całego życia, przez ciepło zużyte w tymże upływie czasu, otrzymamy równoważnik mechaniczny ciepła. Iloraz w tym razie da nam liczbę 425 kilogrametrów.

Aby pozyskać ciepło, zużyte w ciągu życia zwierzęcia, potrzeba nam do ciepła, jakiebyśmy otrzymali, paląc wszystkie pokarmy spożyte przez zwierzę w ciągu życia, dodać ciepło, pochodzące ze spalenia jego ciała po śmierci. Następnie zebrać w jedną sumę ciepło wydzielone na zewnątrz w ciągu całego życia zwierzęcia, ciepło pozyskane przez spalenie materyj, przez zwierzę wydzielonych w tymże czasie, oraz ciepło ciała zwierzęcego w jego postaci zaraz po urodzeniu. Po złożeniu obu tych sum należy drugą odjąć od pierwszej. Współczynnik pracy z machin otrzymywanej wynosi według doświadczeń 7%. Wypada nam teraz poznać, jaki jest współczynnik machiny ludzkiej.

Wiadomo nam, że największą pracę spełnia człowiek wówczas, gdy pnie się w górę o spadku łagodnym. Pracę te wymierza iloczyn z wagi jego ciała, pomnożonej przez wysokość jakiej dosięga. Owoż doświadczenie w tej mierze okazało, że człowiek może spełnić bez wysilenia w tych warunkach pracę 280,800 kilogrametrów, w ciągu ośmiu godzin według obliczeń Moleschota. Przeciętne pożywienie dzienne człowieka pracującego wynosi 3,448 gramów, a spalenie materyj tę wagę przedstawiających, dochodzi liczby 2,883 jednostek cieplikowych.

Praca mechaniczna odpowiednia tym 2,883 jednostkom cieplikowym, wyrównywa 1,225,275 kilogrametrom. Owoż dzieląc pracę spełnianą dziennie, przez pracę odpowiadającą trawieniu pokarmów, otrzymamy na współczynnik machiny ludzkiej 0,229 czyli prawie 23%.

Stosunek ten odpowiada najzupełniej podanemu przez słynnego fizyka niemieckiego Helmholtza, i okazuje najwyraźniej, że machina ludzka jest daleko doskonalszą od wszelkich machin parowych; wszakże jest od nich nieporównanie droższą. W rzeczy samej potrzeba 8 ludzi do wykonania pracy, jaką spełnia jeden koń parowy. Owoż oceniając beczkę węgla na 50 franków, jeden koń parowy pracujący przez 8 godzin kosztować będzie 0,52 franka, gdy tymczasem koszt pracy człowieka w tymże czasie wyniesie 2 franki, czyli koszt 8 ludzi dochodzić będzie 16 franków.

Ruch przetwarza się nie tylko w ciepło, ale nadto w inne czynniki fizyczne pod wpływem pewnych warunków. I tak za pomocą machiny elektrycznej, ruch przetwarza się w czynnik identyczny z produkującym piorun. Używając machiny magnetoelektrycznej, ruch wytwarza prądy całkiem podobne do pozyskiwanych ze stosu wolty, które nam posługują do przesyłania depesz telegraficznych. Ruch pociągów na drodze żelaznej, zmienia szyny, przez które przechodzi w magnetyczne, gwałtowne zaś powstrzymanie ruchu może wytworzyć światło. Gwiazdy spadające przechodząc w naszę atmosferę z chyżością różniczkową 16—72 kilometrów w sekundzie, są tego przykładem.

Ponieważ ruch może się przetwarzać w ciepło, elektryczność, magnetyzm i światło, jasną jest rzeczą, że czynniki te są niczem innem, jak tylko szczególnemi odmianami ruchu.

Jesteśmy świadkami nieustannych transformacyj, zachodzących w całej przyrodzie. Machina parowa przetwarza w ruch ciepło zrodzone w skutek palenia się węgla, ruch z pomocą machiny magnetoelektrycznej przeradza się w elektryczność, z kolei przetwarzającą się w światło. W ten sposób ciepło przechodząc przez rozmaite stany, staje się światłem. Moglibyśmy sięgnąć dalej—ciepło wywiązane z węgla kamiennego w rzeczywistości pochodzi z promieni słonecznych, za których wpływem rozwijała się roślinność w epoce węglowej. W pokładach węgla słońce przed milionami lat złożyło zasób siły cieplikowej, z której dziś przemysł korzysta.

Widzimy stąd, że wszelkie siły przyrody ulegają prawu przekształceń, żadna z nich nie ginie, i na tej zasadzie fizycy wyprowadzają prawo zachowawczości siły. Ruch jest również nieśmiertelnym jak materyja, i w skutek swych przetworzeń produkuje wszelkie zjawiska w naturze. Zasada zachowawczości siły ruch rodzącej, posłużyła marzycielom za podstawę do pokuszeń wytworzenia ruchu wieczystego.

Należy nam z tą kwestyją obznajmić nieco czytelnika.

Ruch ciągły (perpetuum mobile) oznacza dosłownie ruch nieustający na chwilę, trwający nieskończenie. Nie w tem jednak określenia pojmują go wynalazcy, ubiegający się za mrzonką, usiłują oni bowiem zbudować taką machinę, któraby będąc, raz w ruch wprowadzoną, mogła się poruszać nie tylko ciągle bez pomocy żadnego motora (siły poruszającej, silnika), ale nadto wytwarzać siłę użytkową bez najmniejszego ubytku.

W pierwszym określeniu ruch nieustanny nie jest bynajmniej niedorzecznością, ponieważ według prawa bezwładności, ruch rozpoczęty, powinien trwać nieskończenie, gdyby żadna obca przyczyna nie wpłynęła na jego powstrzymanie. Wreszcie, gdyby nawet i nastąpiło, ruch jak nam wiadomo, przetwarzać się może w ciepło, elektryczność i t. p. Jeżeli jednak zajmować się będziemy ruchem nieustannym dostrzegalnym, napotkamy go jedynie w gwiazdach, chociaż i w tych przestworach nie jest ściśle biorąc wieczystym.

W rzeczy samej przypuszczać możemy w przestrzeniach tych istnienie ośrodka, którego siła oporowa po wielce długim upływie czasu, zniszczyć może ruch i przetworzyć go w ciepło. Owoż bądź co bądź dostrzegamy ruch nieustanny w pierwszem jego pojęciu jedynie w przestworach niebieskich, ruchu zaś wieczystego w drugiem jego określeniu, nie napotykamy nigdzie. Jest on niepodobieństwem i niedorzecznością.

W rzeczy samej widzieliśmy, rozpatrując się w zachowawczości siły, że ruch przetwarza się w ciepło lub w elektryczność, wszakże zmiany te są zawsze sobie równoważne. Natura nie zna żadnego stwarzania pracy, może tylko przetwarzać jeden ruch w drugi pozostawiając niezmienną sumę pracy mechanicznej.

Wszelka machina służy tylko do przenoszenia akcyi motora, a to w celu zwycięzenia oporu; spełniając jednak to zadanie, machina nie powiększa wcale ilości pracy spełnianej przez tenże motor, ale przeciwnie zmniejsza tę ilość z powodu oporu, jaki napotyka w swym ruchu, przetwarzającym się w części w ciepło.

Ludzie mało obznajmieni z prawami mechaniki, wyobrażają sobie, że za pomocą machin można stworzyć pracę. Według ich poglądu, ponieważ małą siłą można zwyciężyć wielki opór, tem samem byłoby możebnem zużytkowanie całego zasobu tej małej siły, bez ponoszenia ubytku. Jest to niestety złudzeniem, gdyż we wszelkiej machinie, zachodzić musi strata w sile.

Wielka zasada zachowawczości siły mogłaby nasuwać przypuszczenie, że świat jest niezmiennym; że przekształcenia zachodzące w jednym kierunku, kompensowane są przez przekształcenia przejawiające się w drugim. Jest to błędem, który najwidoczniej okazują nam pokłady ziemne.

Historyja naszej planety naucza nas, że ziemia uległa znaczącym zmianom od chwili pierwotnego swego ukształtowania się, że wreszcie zamieszkiwaną była przez jestestwa coraz doskonalsze. Podobnież przyszłość świata nie jest wcale obiecującą dla jego mieszkańców, nauka bowiem przepowi nam zmiany na

ziemi, które ostatecznie doprowadzą do znicestwienia na niej życia.

Słońce będące źródłem wszelkiego życia w naturze, przelewa nieustannie w przestrzeń strumienie światła i ciepła których ziemia pozyskuje cząstkę bardzo małą. Większość promieni słonecznych jest dla niej straconą, i tu promienieje w nieskończonych przestworach.

Największa część promieni słonecznych padających na ziemię, zachowuje się w stanie ciepła i zwolna rozprasza się w przestrzeni. Pozostała część, zamienia w parę wody rozlane na powierzchni ziemi. Para ta wzniosłszy się w wyższe warstwy atmosfery, zmienia się w mgłę i tworzy chmury, a następnie spada w postaci deszczu, śniegu, lub gradu na ziemię, zbierając się w źródłach, strumieniach, rzekach, wreszcie wraca do morza unosząc z sobą odłamy skał, muł i kamienie. Zwracając się ku morzu, woda w części utraca po drodze ruch i wytwarza ilość ciepła, jak najdokładniej wyrównywającą ciepłu które poprzednio służyło jej do wzniesienia się w powietrze w postaci pary. W ten sposób, ciepło zmieniając się w pracę użytkową, w chmurach, przetwarza się na nowo w ciepło. W naszych młynach, fabrykach i zakładach hydraulicznych, korzystając z wody przetwarzamy w pracę to ciepło, które wodę zmieniło w chmury. We wszelkich prawie zakładach przemysłowych, praca wydawana przez motor, zmienia się ostatecznie w ciepło.

Słońce w nierównym stopniu ogrzewa naszą atmosferę, powietrze goręcsze i więcej rozrzedzone wznosi się w górę a niżej przechodzą prądy powietrza zimnego. Takiem jest pochodzenie wiatrów; pod równikiem powietrze jest najgorętsze, i najwięcej rozrzedzane, i to dostając się w wyższe warstwy atmosfery, płynie ku biegunom, które z kolei wysyłają ku równikowi powietrze zimne, tam się ogrzewające i tworzące wiatry alizejskie. Wiatry alizejskie panują stale na Atlantyku i oceanie Spokojnym na 30° po obu stronach równika; powstają w skutek ogrzewania się powietrza od prostopadłych promieni słońca w okolicach równikowych, które wznosi się w górę i zastąpionem zostaje powietrzem gęstszem, płynącem od biegunów ku równikowi. Te prądy powietrzne w skutek obrotu ziemi przyjmują względem równika kierunek skośny. Ciepło słoneczne produkuje te wiatry, które z kolei w miarę jak powietrze wraca do spoczynku. wytwarzają ciepło.

Jedyna operacyja natury w której ciepło nie ulega rozproszeniu, zachodzi w królestwie roślinnem. Promienie słoneczne padające na liście zielone rozkładają kwas węglany i wodę, a to celem utrwalenia w tychże liściach węgla i wodoru, a zarazem wywiązania tlenu. Nadmienić tu winniśmy, że promienie słoneczne dokonywające tych rozkładów w roślinie, są niebieskie, fijoletowe, i ultra fijoletowe, niewidzialne, lecz obdarzone działalnością chemiczną i z tej przyczyny zwane *promieniami chemicznemi.*

Rośliny są karmicielkami zwierząt, które znowu moglibyśmy nazwać przyrządami palenia się węgla i wodoru, ciał czerpanych przez zwierzęta z roślin. W rzeczy samej węgiel i wodor pali się nieustannie w organizmie zwierzęcym, wytwarzając ciepło i pracę mechaniczną. Zwierzęta w tym procesie wyziewają kwas węglany i wodę, które zostają pochłonywane przez rośliny.

Słońce i księżyc wywierają pewien wpływ na ziemię. Każde z tych ciał w dwóch punktach przeciwległych powierzchni mórz, wytwarza dwa wydęcia, dwie fale olbrzymie spełniające obrot odpowiedni ruchom dziennej gwiazdy, i tworzące to, co nazywają marynarze przypływem morza. Dwie fale wytworzone przez księżyc są przeszło dwakroć większe od wydawanych przez słońce, a to w skutek bliższego sąsiedztwa satelity ziemskiego. Wierzchołek jednej z tych fal wydatnieje w punkcie najwięcej oświetlonym przez księżyc, wierzchołek zaś drugiej fali znajduje się w punkcie przeciwległym. Działanie słońca w nieznaczącym tylko stopniu zmienia przypływy księżycowe. Ziemia w swym ruchu obrotowym unosi te wydęcia, wytworzone za wpływem księżyca, przyczem wody morskie usiłują nieustannie powrócić do równowagi, a niedosięgając jej nigdy, ponoszą pewne straty w swym ruchu.

Owóż wszelki ubytek w ruchu rodzi ciepło, a tem samem na powierzchni naszej planety wytwarza się nieustannie ciepło, kosztem ruchu właściwego kuli ziemskiej. Na podstawie tych spostrzeżeń, przychodzimy do wniosku, że zjawisko przypływów zwolna osłabia ruch obrotu ziemi około jej osi, a tem samem dąży do powiększenia stopniowo długości dnia.

Pomniejszenie ruchu obrotowego ziemi, jest wcale nieznaczącem, powiększenie bowiem długości dnia, wynosić może tylko jedną sekunde w upływie 162.000 lat.

Czy ziemia pomniejszając nieustannie swój ruch, nie zatrzyma się nagle w przestworze? Na to pytanie odpowiadamy przecząco. W rzeczy samej, gdyby to pomniejszenie ruchu ziemi doprowadziło do ujednostajnienia jej ruchu obrotowego około osi, z ruchem obrotowym księżyca około ziemi, to i w takim razie, ziemia tąż samą stronę zwracałaby do księżyca. Wówczas wydęcie płynne przejawiające się od strony księżyca, nie uległoby zboczeniu, w skutek obrotu ziemi i księżyc nie wywierałby wpływu osłabiającego jej obrot ostatecznie, więc ziemia zwracać się będzie zawsze jedną stroną ku księżycowi, podobnie jak tenże dziś zwraca się zawsze jedną stroną ku niej.

Z tego co dotąd przytoczyliśmy wypływa, że we wszelkich zjawiskach zachodzących w naszym systemie słonecznym, przejawia się dążność rozmaitych sił do przetwarzania się w ciepło. Ciepło to usiłuje przechodzić od ciał rozgrzanych do zimniejszych, a tem samem utrzymać równowagę w temperaturze.

Zmniejszenie ilości ciepła, przesyłanego przez słońce ziemi, jest nieuniknioną katastrofą, jaka zagraża jej mieszkańcom. Katastrofa ta przecież jest niezmiernie od nas odległą; nie zagraża bynajmniej ani nam ani naszym najdalszym prawnukom. Zmiany zachodzące w temperaturze ziemi, są niesłychanie powolne. Od czasów historycznych to jest od czterech czy pięciu tysięcy lat, temperatura ziemi nie zmniejszyła się w stopniu dającym się ocenić. Wprawdzie nie posiadamy obserwacyi termometrycznych z tych odległych czasów, natomiast wiemy że wino i drzewa oliwne wielce czułe na zmiany temperatury, owocowały w epoce Abrahama i Mojżesza, co dowodzi niewątpliwie, że ziemia od tego starożytnego okresu nic prawie nie utraciła z ilości ciepła dostarczanego jej przez słońce. W każdym razie nie ulega żadnej kwestyi, że ta gwiazda dzienna wyczerpie cały swój zasób ciepła. Gdy promieniowanie świetlne i cieplikowe słońca osłabnie, życie roślinne i zwierzęce musi naturalnie zagasnąć na ziemi. Gdyby przestrzenie planetarne były próżnią, ziemia i inne ciała niebieskie po zagaśnieniu słońca, mogłyby krążyć dalej w ciemnościach. Przestrzenie te wszakże wypełnia eter, a zatem bądź co bądź ośrodek oporowy; ruch więc planet zwolna przetworzy się w ciepło, które rozproszy się w przestworach niebieskich a ziemia i inne ciała ostatecznie połączą się z zagasłem słońcem.

W. Niewiadomski.

STAW KSIĘDZA OPATA

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

Elsie pierwszy raz w życiu usłyszała ten ton rozkazujący i z podziwieniem patrzyła jak brwi Filipa ściągnęły się nad oczami.

Gdy życzenie jego spełniła, Denbigh wziął listy przyniesione podczas jego nieobecności i zaczął je odczytywać, ilekroć jednak Elsie, kręcąc się tu i owdzie po swej nowej siedzibie, spojrzała na męża, zawsze spotykała jego wzrok w nią utkwiony z wyrazem którego żadną miarą zrozumieć nie mogła. Zakłopotana postanowiła zaraz nazajutrz usunąć nie fortunny podarunek, i nie uspokoiła się dotąd dopóki Filip, skończywszy czytanie listów nie przemówił do niej po dawnemu.

Następnego poranku była zupełna odwilż. Zewsząd lało się i kapało i pan Denbigh, siadając na koń po śniadaniu dla odbycia swego codziennego objazdu, zalecił żonie, aby przez cały dzień nigdzie z domu nie wychodziła, Elsie przyrzekła być posłuszną, chybaby się zupełnie wypogodziło, i przez cały poranek bardzo była zatrudnioną, gdyż stara Isott przyczepiła się do niej, zmuszając ją do przejrzenia wszystkich szaf, kredensów, pułek i kufrów, i zliczenia zawartych w nich przedmiotów. Dopełniwszy tego zadania, młoda pani spożyła samotnie swój *luncheon*, poczem dosyć miała jeszcze zajęcia z uporządkowaniem swoich skarbów, tak, że dopiero ku wieczorowi znalazła czas zajrzeć do saloniku, aby zobaczyć czy jest ogrzany i gotowy na przyjęcie pana domu. Wpadło jej w oczy, że próżne wazony od kwiatów smutnie wyglądały, i że brakowało im trochę barwy dla uwydatnienia ich białości, a gdy w tej właśnie chwili słońce pogodnie zajaśniało, spiesznie zarzuciła na siebie okrycie, włożyła kapelusz i kalosze

i wyszła, chcąc urwać kilka gałązek dzikiego mirtu, którego pełno rosło nad brzegami stawu księdza opata.

Przeszła ostrożnie śliską ścieżką, prowadzącą przez ogród, na bardziej jeszcze oślizłej brzeg sadzawki, w której głębi leżały duże bryły lodu. Masa topniejącego śniegu spadła na nią z krzaku w chwili, gdy pociągała ku sobie gałąź; a gdy się przychyliła naprzód, strząsając śnieg ze swego okrycia i z głowy, ujrzała pod nogami coś błyszczącego wśród mokrej trawy. Schyliła się i podniosła ten przedmiot; był to pierścionek misternej roboty, z rubinem w środku. Widok tego pierścionka dziwne sprawił na niej wrażenie. Właśnie taki sam znajdował się pomiędzy kilkoma klejnocikami, zostawionemi jej przez matkę, i oddała go swemu pierwszemu mężowi w chwili smutnego pożegnania, które miało być ostatniem. Był to osobliwszy zbieg okoliczności, pomyślała, i z drżeniem zabobonnej trwogi przyglądała się, do jakiego stopnia podobieństwo było zupełnem: wielkość i barwa kamienia, staroświecka oprawa, nawet malutka plamka, którą zapamiętała w swoim rubinie, i w tym była powtórzoną. Zaledwie uwierzyć mogła, żeby pierścionek jaki trzymała w ręku, nie był tym samym zadatkiem miłości, który wraz z jej straconym małżonkiem poszedł na dno morza.

Smutna powróciła do domu, a gdy się ujrzała samą w pół ciemnym już sypialnym pokoju, przejął ją strach zabobonny. Rzuciła na łóżko okrycie i kapelusz, i zaczęła biedz co tchu do saloniku, gdzie właśnie zapalono świece, gdy Filip Denbigh, wchodząc głównemi drzwiami, przyjął ją prawie w swe objęcia.

Zdziwiła ją przenikliwość z jaką natychmiast poznał, że coś nowego zaszło, i zapytał głosem pełnym żywego niepokoju:

— Co to jest? Co się stało?

Opowiedziała mu wszystko, stojąc obok niego przed kominkiem, na którym żywy płonął ogień, i zakończyła temi słowy:

— Nie jestże to dziwnem? Nie zdarzyło mi się nigdy widzieć pierścionka do tamtego podobnego, a ten jest zupełnie taki sam.

Pan Denbigh wyrwał jej z rąk pierścionek, mówiąc z gniewem:

— Rzuć to w ogień! — nie dotykaj się tego—rzuć to precz!

Pierwszą myślą Elsie, teraz jak zawsze było usłuchać tego rozkazu, ale natychmiast zastanowiła się, że ten pierścionek musi do kogoś należeć, i że ma rzeczywistą wartość. Gdy się schyliła, chcąc go ocalić, Filip Denbigh szarpnął ją gniewnie.

— Nie chcę, abyś mi ustawicznie zawracała głowę tą minioną przeszłością. Wszystko, co tylko spostrzeżesz, każde najdrobniejsze zdarzenie odnosisz do wspomnień, które raz na zawsze powinnaś wymazać z swej pamięci. Ty mi każdej godziny dnia, krzywdę wyrządzasz myślami twemi, Elsie.

Zmartwiona, zdziwiona i boleśnie dotknięta, Elsie cofnęła się i z szybkiem poruszeniem, odsłoniła rękę na której jego żelazne palce zostawiły czerwone znaki. Spojrzała na ten dowód porywczości męża żałosnym wzrokiem skrzywdzonego dziecięcia, i łzy puściły się z jej oczu. Ale widok tych łez bynajmniej nie zmiękczył jego serca, i z wrastającem rozdrażnieniem rzekł jeszcze:

— Jakież ty robisz przypuszczenia? Co ci przychodzi do głowy? Powiedz mi lepiej od razu, co myślisz.

— Cóż ja mogę myśleć?—odpowiedziała, podnosząc na niego zdziwione oczy. — Ja ciebie nie pojmuję dzisiaj, Filipie. Bez wątpienia ktoś musiał zgubić ten pierścionek; ale jest tak podobny do tego, który dałam... tu wstrzymała się w obawie, aby znowu nie pobudzić jego zazdrosnego usposobienia, i dodała: Każdegoby to uderzyło, Filipie, i nie miałeś powodu,—tu łkania głos jej stłumiły, i łzy na nowo płynąć zaczęły.

Pan Denbigh przeszedł się parę razy po pokoju, potem stanął tuż przy młodej małżonce, opartej o poręcz kominka.

— Elsie, przestań płakać, rzekł zmienionym głosem, przestań płakać, jeżeli nie chcesz mię przyprowadzić do szaleństwa. Ty płaczesz? Więc ty w istocie dla tego płaczesz, żem ja się grubijańsko z tobą obszedł? A ja przysięgałem, że nigdy ani jednej łzy nie wycisnę z twych oczu! O! kochanko moja, najdroższa moja, przebacz mi, przebacz!

Łzy młodej kobiety zamieniły się w uśmiech pełen anielskiej słodyczy.

— Przestraszyłeś mię, rzekła, ale to już minęło. Zanadto wszystko bierzesz do serca Filipie.

— Czy tak? Bądź dla mnie wyrozumiałą, Elsie. Bądź wyrozumiałą, bo gdybym cię mniej kochał, nie brałbym tak wszystkiego do serca. Osusz twe oczęta, i nie myśl więcej o tem, droga moja biedaczko!

— Litujesz się nademną? rzekła zupełnie już rozpromieniona i szczęśliwa, upewniam cię, że to wcale zbyteczne; a patrz! oto jest pierścionek: zsunął się nienaruszony za kratę.

— Daj mi go, rzekł Filip wyciągając rękę, ogłoszę go w miejscowym dzienniku. Wiesz, że staw księdza opata używa pewnej sławy; ale ja teraz temu koniec położę, i zagrodzę pole.

— Oto jest, rzekła Elsie, przecie nie gorący.

— Nie; dla czego?

— Zdawało mi się, żeś drgnął, jak gdyby ci sparzył palce.

— Nazajutrz pani Denbigh zapytała swego męża, czy zrobił ogłoszenie; on odpowiedział jej krótko, że wszystko już załatwione, a ona będąc kobietą z natury uległą i nie zbyt ciekawą, poprzestała na tej odpowiedzi.

ROZDZIAŁ III.

Po co ta tajemnica? Ja nie lubię tajemnic!

Upłynął miodowy miesiąc, odbyto szereg ślubnych wizyt, i doktór z młodą małżonką rozpoczęli spokojne domowe życie. Filip Denbigh dobrze powiedział, że Elsie była jedyną w świecie kobietą dla niego, a każda godzina w ścisłym małżeńskim związku z nią przeżyta, zwiększała jego namiętne do niej przywiązanie. Charakter jego, pod każdym względem silny i w sobie zamknięty, czuł szczególną potrzebę spoczęcia na „miękkiem wezgłowiu niewieściej duszy,“ a Elsie, chociaż o wiele niższa umysłem od męża, wkrótce się nauczyła pojmować przedmioty, które go zajmowały, i polubiła je zarówno dla nich samych jak dla jego miłości. A jednakże chociaż każda godzina przynosiła jej nowe dowody miłości męża, chociaż widziała, jak serdeczne spojrzenia jego szukały jej, ilekroć znajdowali się razem w towarzystwie, i głos jej zawsze najpierwej uszu jego dochodził, Elsie w przeciągu pierwszego roku swego pożycia małżeńskiego przyszła do przekonania, że mąż jej, z powodów niepojętych dla niej, wcale nie był szczęśliwym, nadto, że nie ufał jej zupełnie. Z niespokojną ciekawością oglądał adres każdego przyniesionego do niej listu, i miał zwyczaj wybadywać ją szczegółowo z podejrzliwością, którą napróżno ukryć usiłował, co robiła i kogo widziała podczas jego nieobecności; zdarzało się często, że powracał do tego przedmiotu w parę godzin po skończeniu jej prostego opowiadania, zagadując ją z nienacka, jak gdyby ją posądzał o zatajenie czegoś. Nie jeden raz przypadkowa niedokładność w jej sprawozdaniu wywołała szaloną burzę podobną do tej, jaką doświadczyła w dzień znalezienia pierścionka z rubinem; ale zawsze potem tak żałował swego niedorzecznego uniesienia, tak mu było przykro, że ją zmartwił, że Elsie przyzwyczaiła się obawiać tych scen daleko więcej dla niego, niż dla przemijającej przykrości, jaką jej samej sprawiały.

Z początku zdawało jej się zawsze, iż sama jest mimowolnie winną tych osobliwszych wybuchów gwałtowności; lecz niebawem z pewną gorzką pociechą usłyszała, w jaki sposób fantastyczne i podejrzliwe postępowanie pana sądzone było w kuchni.

— Nie wiem doprawdy, co jemu się stało— mówiła stara Isott ze szczerą rubasznością.— To zwaryjować trzeba. Już mi ze sto razy w tym roku tak powiedział, jak gdybym ja chciała go oszukać. Ja mu też powiedziałam, że będąc młodą, nigdy nie kłamałam, i teraz nie zacznę, kiedy niedługo przyjdzie zdać rachunek ze wszystkich grzechów. Oho! pan teraz ani przez połowę nie jest takim gentlemanem, jakim był dawniej, powiem to, choćby mię nie wiem kto miał usłyszeć.

Pomimo tego gderania jednakże, stara Isott ostro karciła swe podwładne, jeżeli która w jej obecności pozwoliła sobie uwag podobnych.

Pewnego gorącego sierpniowego dnia po południu, kiedy ziemia zdawała się dyszeć pod palącymi promieniami słońca, pan Denbigh dążył śpiesznym krokiem przez pole ku domowi. Ucinał sobie tym sposobem kawał drogi od sąsiedniego miasteczka, ale ostatnimi czasy, rzadko tej drogi używał. Tą razą przebiegł prawie kłusem łąkę, przeskoczył niski parkan ogrodu, i w mgnieniu oka był pod oknem saloniku żony. Żaluzyje od południa były spuszczone, a pokój miał pozór miłej świeżości w zielonem półcieniu; bukiety z róż, jaśminu i werbeny miłą wonią napełniały powietrze. Elsie, w białej lekkiej sukni siedziała przy otwartem oknie. Już chciała wykrzy-

knąć, ujrzawszy znużoną twarz i strapiony wzrok męża, gdy on zamknął jej usta.

— Nie mogę się zatrzymywać, rzekł.—Przybiegłem tylko powiedzieć ci, że moje smutne obawy sprawdziły się. Owe dzieci Bazyledja mają z pewnością tyfoidalną gorączkę, i to bardzo złośliwą. Ten biedny chłopczyna już nie żyje, a pozostałe czworo źle się mają. Ci ludzie są szaleni! Wtenczas dopiero wzywają pomocy, kiedy już zapóźno!

— O mój Boże!

— W tych ciasnych uliczkach zaraza rozszerzy się z szybkością gregoryjańskiego ognia. Przed tygodniem objawiła się w fabrycznych zakładach w Slowcombie.

— Czy z tego powodu będziesz miał więcej zajęcia?

— Rozumie się. Posłałem już po pomocnika do Brichamu, ale zaczem przybędzie, sam muszę być wszędzie; nie czekaj więc na mnie z obiadem.

— Wstąpże choć i zjedz kawałek baraniej pieczeni? Nie? Może zimnego mięsa? To choć kieliszek wina? mówiła Elsie, zmniejszając swoje ofiary, gdy on wstrząsał na wszystko przecząco głową.

— Będę robił, co będę mógł; tylko najdroższa moja, nie turbuj się o mnie, a nadewszystko nie czuwaj w nocy.

— Ale czyliż nie mogę uczynić czego dla tych biednych ludzi? Czy im nie brakuje czego?

— Wszystkiego im brakuje! Idź do pani Carter, kochanko, to zobaczysz ile dokazać zdoła przemysł kobiecy dla ratowania chorych, a nadewszystko dla żywienia i pielęgnowania tych, którzy jeszcze są zdrowi; ostrożności są zbawienniejsze od leków. Tylko w żadnym razie nie pozwolę, abyś się narażała na najmniejsze niebezpieczeństwo; pamiętaj o tem.

Przez dwa następne miesiące, pani Denbigh rzadko kiedy widywała swego męża, chociaż wiele o nim słyszała i to zawsze z uwielbieniem i błogosławieństwem. Staczał on zaciętą walkę z zarazą, wzywając na pomoc całej potęgi nauki, wspartej znaną jego zdolnością i wytrwałością. Chociaż miał więcej zajęcia, jak siły ludzkie podołać mogą, nikt nie został zaniedbanym, najmniejsza nie wydarzyła się pomyłka, nikt nie mógł narzekać na zapomnienie, albo zbytni pośpiech ze strony doktora, i wielu z tych, którzy stali nad grobem, powróconych zostało do życia. Pan Denbigh w istocie zdawał się obchodzić bez jedzenia i spania, a nawet kiedy pomoc mu nadeszła z różnych stron, on wpadał tylko do domu, aby przekąsić co naprędce, wziąść chłodną kąpiel, przespać się godzinkę, a co najgłówniejsze, uściskać żonę, co jak jej powtarzał, więcej dla niego znaczyło niż sen.

Z nadejściem chłodniejszych dni październikowych, zaraza się zmniejszyła, świeże wypadki coraz rzadziej się przytrafiały, a chorzy prędzéj przychodzili do zdrowia. Żona wikarego, która urządziła bezpłatną aptekę, podczas gdy pani Denbigh zajmowała się wydawaniem żywności dla potrzebujących, oświadczyła, że wypada im raczej teraz zjednoczyć do tego ostatniego celu wspólne siły, większa bowiem część konwalescentów potrzebuje fizycznego, to jest kuchennego posiłku. Przyszedł nakoniec dzień, kiedy pan Denbigh, powróciwszy o zmierzchu do domu, oświadczył swej uradowanej małżonce, że już tego wieczoru nie wyjdzie bez szczególnego wezwania.

— Nie troszcz się o obiad, Elsie, rzekł; jeżeli ty już po obiedzie, dla mnie dostateczną będzie herbata.

I to powiedziawszy, poszedł do swego pokoju. Gdy wrócił do żony, jej pokój jaśniał podwójnem światłem świec i kominkowego ognia; story były spuszczone dla stłumienia reszty posępnego światła dziennego, poręczowe krzesło zachęcająco przysunięte do ognia; a doborowy serwis porcelanowy do herbaty ustawiony na przeznaczonym do tego stoliczku, zdaleka wydawał nęcący zapach. Sama Elsie, klęcząc przed kominkiem, poprawiała węgle, aby się lepiej paliły, a błękitnawy płomień padał na jej lśniące włosy i nieliczne złote ozdoby, któremi zmniejszyła surowość czarnej skromnej sukienki. To wszystko tworzyło całość pełną uroku, prawdziwy obraz domowego szczęścia, i Filip Denbigh zdawał się zupełnie oddawać miłym wrażeniom obecnej chwili, rzucając się w swe poręczowe krzesło dla użycia tak dobrze zasłużonego spoczynku.

— Dziękuję ci, rzekł unosząc się trochę, gdy mu żona przysunęła stoliczek zastawiony ulubionemi jego przysmaczkami; ja to raczej powinienbym tobie usługiwać, mój aniołku; ale jestem dziwnie jakoś znużony.

— Nie ma w tem nic dziwnego; ale czy to tylko znużenie, czy nie jesteś słaby? zapytała nagle zaniepokojona. O Filipie! jakże rozpaloną masz głowę!

Spostrzegła także, iż tylko dotknął potraw, tak starannie przez starą Isott przyrządzonych; nakoniec sam przyznał, że jeść nie może.

— Ale nie trwóż się Elsie, rzekł z uśmiechem. Moja godzina jeszcze nie wybiła.

— Nie podobna mi być spokojną, odpowiedziała, chociaż to brak wiary z mej strony, kiedy tyle modłów idzie za tobą w niebiosa. Gdybyś tylko słyszał Filipie, jak o tobie mówią te biedne matki! Jak ci są wdzięczne!

— Wdzięczne? Boże im dopomóż, biedaczkom! nie bardzo mają za co mi być wdzięczne. Czy myślisz, że wiele z pomiędzy nich ma życie tak miłe, aby zachowanie jego warte było wielkiej wdzięczności?

— Większa część, prawie wszyscy, pewną tego jestem. Najbiedniejsze z nich mają jakiś przedmiot miłości, mają zatem żyć dla czego. My przynajmiej oboje, Filipie, ty i ja, nie powinnibyśmy nigdy poddawać wątpliwości znaczenia życia.

— Niech i tak będzie; jednakże ja, ilekroć chorobę zwalczyłem, zapytywałem sam siebie: czy to dziecię — jak wiesz najwięcej dzieci chorowało — czy to dziecię mówię, nie będzie mię kiedy przeklinało, żem go od śmierci ocalił.

— O! przypuszczam, że o dziecku czasem tak pomyśleć można, jednak to zawsze grzeszne uczucie, nieprawdaż? Bóg, który ci pozwolił ocalić je, uczynił to zapewne w jakim mądrym i dobrym celu, i dla ich własnego szczęścia.

— Wszystko to loteryja, rzekł posępnie pan Denbigh; okoliczności robią grzesznika lub świętego. Czy sądzisz, że Kaim lub Judasz, albo inni jeszcze, których imiona stały się przysłowiem na oznaczenie wszystkiego co złe, byli rzeczywiście gorszymi od tysiąca szanownych ludzi, którzy się cieszyli poważaniem ogólnem, i których śmierć powszechnie opłakiwano? Bynajmniej! Wszystko zależy od wielkości pokusy, jaką człowiek na swej drodze spotyka.

— Przecież nie jesteśmy wszyscy igraszką wypadku, rzekła nieco zrażona Elsie; przecież Bóg zsyła na nas próby według tego co, w mądrości swej za najlepsze dla nas uważa?

— Zapewne, to właściwa teoryja, wiem o tem, i pocieszająca nawet, bo odejmuje ludzkości wszelką odpowiedzialność. Jeżeli wszechmoc i wszystkowiedza kierują scenami dramatu życia, cóż może być wygodniejszego. Człowiek jest tylko maryjonetką w ich rękach; niechże za niego odpowiadają.

Filip Denbigh mówił z goryczą, bez związku; Elsie milczała przez chwilę, niemile dotknięta jego dowodzeniem.

— Nie poznaję cię dziś, Filipie, rzekła nakoniec, wpatrując się w niego niespokojnie; jesteś zanadto zmieniony i rozdrażniony. Może się położysz do łóżka? Pomyśl, jak już dawno nie miałeś jednej nocy nieprzerwanego spoczynku. Pewną jestem, że jutro w jaśniejszych barwach będziesz widział życie i całą ludzkość.

— Tak, już dawno nie słyszałem cię śpiewającą, odpowiedział. Czy nie masz przypadkiem jakich kościelnych hymnów? Do takiej dziś tylko usposobiony jestem muzyki.

Elsie poszukała pomiędzy swemi nutami, i niebawem słodki jej głos zaintonował *Dies irae* z poważną rzewnością, zastosowaną do szerokiej żałobnej melodyi i tkliwych słów, w których wiara i nadzieja staczają walkę z czemś podobnem do rozpaczy. Filip Denbigh wsparł głowę na dłoni wsłuchiwał się głęboko w błagalne wzywania każdego wiersza.

„Szukając mnie znużyły się Twe stopy
Na krzyżu dusza Twa śmierci zakosztowała,
Nie dozwól aby wszystkie twem ęki próżnemi były.“

Śpiewała Elsie, a gdy umilkły ostatnie dźwięki jej głosu, Filip zerwał się nagle, mówiąc:

— Bardzo zmęczony jestem, droga Elsie i głowa mię boli. Pójdę się położyć.

Żona wkrótce to samo uczyniła, ale przed północą strwożona przybiegła do pokoiku starej Isott. Mąż jéj po krótkim śnie przebudził się z silniejszym bólem głowy i był tak rozgorączkowany, że pani Denbigh okropnie się przestraszyła. Był jednak zupełnie przytomny i ani słuchać nie chciał, żeby posyłała po pana Scotta; ona zaś nie miała w panu Scocie tak wielkiego zaufania, żeby koniecznie na to nastawać, i uspokoiła się nieco zapewnieniem starej sługi, że to wszystko było tylko skutkiem wielkiego znużenia. Przyrządziła mężowi filiżankę herbaty, którą wypiwszy, usnął znowu. Jednakże sen jego tak był niespokojny, że pani Denbigh już się nie położyła, tylko przez resztę nocy przesiedziała razem ze starą sługą przy kominku w drugim pokoju.

— Zdaje się przykre mieć marzenia i taki rozgorączkowany, szepnęła. Czy w istocie nie myślisz, żeby się to na co złego zanosiło, Isott?

— Tak mi Panie Boże dopomóż że nie, odrzekła stara uspokajając swą panią; strasznie się utrudził, oto i cała rzecz. Mnie się widzi że już od dawna jest jakiś nie swój.

— I ja już to spostrzegałam, rzekła pani Denbigh, zbyt sama zaniepokojona, żeby nie być otwartą względem tej starej doświadczonej przyjaciółki męża. Uważam w nim jakiś tajemny niepokój, o! już od dawna!

I to mówiąc, spojrzała przez otwarte drzwi na łóżko, na którem Filip Denbigh rzucał się niespokojnie.

— Moja droga pani, rzekła tajemniczo Isott, on panią kocha nad wszystko w świecie, i jakikolwiek jest powód jego udręki, nie ma w tem nic takiego o cobyś pani mogła być zazdrosną; bądź pani tego pewną.

— O zapewne! odrzekła Elsie uśmiechając się na tak niedorzeczne przypuszczenie.

— Otóż więc, mówiła dalej stara kobieta, przypuściwszy, że chowa przed panią jakąś tajemnicę, ponieważ to nic takiego, żeby tylko raz się odważył i wyznał ją przed panią, z pewnością lżejby mu było.

Pani Denbigh spojrzała zadziwiona na starą sługę, sama niewiedząc co na to powiedzieć, a Isott szybko dodała:

— Może ze mnie stara waryjatka, ale ja pewną jestem, że on się odmienił od tego czasu jak ten nieznajomy gentleman był tutaj, wieczorem w wigiliją państwa ślubu. Jakto? on pani nic o tem nie mówił, hę? dodała widząc zdumione spojrzenie swej pani.

— Podobno że nie, rzekła pani Denbigh, zbierając całą swoję słodką powagę, dla tego też nie mów mi nic, Isott, bo nie chciałabym się od kogo innego, jak od niego dowiedzieć.

— Bóg z panią, ja też i nie mam nic do powiedzenia pani. Tylko że tego dnia czuwałam póżno w noc i tam u siebie prasowałam koszulę Jonatana, gdy zobaczyłam światło w aptece, a spojrzawszy w okno, spostrzegłam pana, jak rozmawiał z jakimś nieznajomym gentlemanem. I oto wszystko, moja droga pani.

— To nie wiele. Nie rozumiem nawet dla czego mi mówisz o tem, co jest rzeczą tak zwyczajną.

— Obcych ludzi mało bywa w Sedgebrooku, odparła porywczo Isott, a jeszcze takich jak ten, z twarzą zarośniętą po same oczy, i włosami Bóg wie jak długiemi, i ze skórą ciemną jak ta cerata na stole. Chociaż nie bardzo mu się przypatrywałam, bo patrzyłam na pana, i jak mię pani tu żywą widzisz, tak ten człowiek przyniósł jakieś złe wiadomości, bo jak żyję, nie widziałam pana tak zmienionego, jak wtenczas.

Pani Denbigh była niezadowoloną. Pojmowała, że nie wypadało jej rozprawiać o mężowskich interesach, nawet z tak doświadczoną sługą, jak Isott, i wyrzucając sobie, że tak długo słuchała jej gadaniny, rzekła:

— To dobrze, jak mój mąż będzie zdrów, zapytam go o tego pana niezawodnie.

— Zrób to pani, zrób koniecznie, nagliła Isott. Teraz powiem dla czego to wszystko pani mówiłam. Przypuśćmy naprzykład, że pan zadłużył się na urządzenie tego wszystkiego, albo też, że wplątał się w jaką intrygę, przed zaręczeniem się z panią. Boże odpuść! młodemu nigdy nie można dowierzać! Otóż, nic w tem dziwnego, że nie rad byłby, aby się pani o tem dowiedziała, a przysięgłabym że ów kudłaty jegomość przyszedł męczyć go o pieniądze, albo też jakim sposobem chciał przeszkodzić jego małżeństwu z panią. Tak więc, niech kochana pani stara się nakłonić go, aby się wyspowiadał ze wszystkiego, bo to kaducznie przykro człowiekowi, kiedy musi się z czem ukrywać przed swoją panią. Ale sza! pan się budzi!

Istotnie Filip Denbigh przebudził się nagle, a gdy Elsie przystąpiła do niego, zastała go siedzącego na łóżku, i dosłyszała jak dysząc, powtarzał szybko te wyrazy: „Nie lękajcie się tych, którzy zabijają ciało— ale tego lękajcie się, który duszę razem z ciałem, mocen jest wrzucić do piekielnych otchłani.”

Elsie zadrżała przejęta zgrozą i trwogą; ale Filip natychmiast przyszedł do siebie, i rzekł naturalnym głosem, kładąc się napowrót na poduszki:

— Dla czegóżeś ty nie w łóżku o tej godzinie Elsie?

— Byłeś cierpiący, usiłując nadać pewność swemu głosowi: lecz jakkolwiek przyćmione światło panowało w pokoju, nie uszło uwagi Filipa jej wylęknione spojrzenie, i natychmiast zapytał jej ze zwykłą w takich razach porywczością:

— Com ja mówił takiego, że tak na mnie patrzysz?

— Nic, kochanku. Jakieś ustępy z Biblii musiały ci się snuć po głowie, nic więcej?..

— Nic więcej?.. z pewnością? Przycisnął jej dłoń do swego rozpalonego czoła, zdając się zbierać rozpierzchłe myśli. Posłuchaj mię Elsie, rzekł po chwili. Ja sądzę, że ten ból głowy i stan gorączkowy, są tylko skutkiem znużenia i bezsenności, ale może to być i tyfus. Gdyby tak było, musisz mi zrobić jedno przyrzeczenie. Niech Isott mię pielęgnuje, nie pozwól nikomu inszemu wchodzić do mego pokoju i sama nie zbliżaj się do mnie. Przyrzeknij mi to!

— Tego przyrzec nie mogę. Jakże możesz nawet żądać tego odemnie? zawołała boleśnie dotknięta. Czyliżbyś sam niepogardził żoną, któraby uczyniła taką obietnicę i dotrzymała słowa?...

— Przyrzeknij! powtórzył. Elsie, twoja odmowa powiększa moją gorączkę; może mię doprowadzić do szaleństwa! ty sama nie wiesz co czynisz. Przyrzeknij to, o co cię proszę! Przekonana, że był w malignie, Elsie dała żądaną obietnicę, w téj myśli, że nie czyni nic złego, chociaż nie ma zamiaru jej dotrzymać.

— Ale mam nadzieję że jutro będziesz zdrowszy, odrzekła przymuszając się do spokojnego uśmiechu. Isott utrzymuje, że cię te wszystkie trudy z nóg zbiły.

— I ja też tak sądzę, potwierdził, a trzymając ciągle jéj rękę w swoich dłoniach, wkrótce zasnął znowu: tym razem trochę spokojniej, chociaż ciągle stękał i mruczał przez sen. A ilekroć się przebudził, pierwsze jego pytanie było:

— Co ja mówiłem?

Nad ranem uspokoił się, i Elsie z radością zauważyła, że czoło jego i ręce były chłodniejsze i twarz pogodniejsza. Zbliżyła się do okna i uchyliła firankę, aby wyjrzeć na świat, który jaśniejszą barwą zaczynał powlekać niebo, a oparłszy czoło o szybę, zadumała się o wnioskach starej Isott. Znajdowała pewną pociechę w tem przypuszczeniu, że jaki dawny dług, lub młodzieńczy wybryk był przyczyną dziwnego niepokoju jéj męża. Tym sposobem wszystko byłoby wytłómaczone. Jego podejrzliwość, jego zazdrosna obawa, aby ona czego nie spostrzegła lub niedosłyszała, byłyby łatwe do pojęcia jeżeli ukrywał przed nią jaką tajemnicę. Oczy młodej kobiety napełniły się łzami błogiej nadziei, gdy sobie wyobraziła jak pozyska jego zupełną ufność, i jak w zamian za nią zapewni go całem sercem, że żaden wybryk, żadne szaleństwo, żaden błąd młodzieńczy nie zdoła ani na jotę zniweczyć jéj miłości, ani osłabić jéj szacunku dla niego. Jak tylko będzie zdrów, myślała sobie: zapytam go co ma na sercu, a jeżeli mi powie, wszystko będzie dobrze.

Tak sobie marzyła Elsie Denbigh, podczas gdy w głębi pokoju mąż jéj rzucał się dręczony gorączkowemi marzeniami, a na dworze zarumienione niebo odbijało się w czarnych wodach stawu księdza opata. *d. n.*

OD REDAKCYI.

Z łaskawemi Czytelnikami naszymi musimy się dziś podzielić dobrą dla pisma nowiną. Zawarliśmy oto spółkę wydawniczą z p. *Julijanem Korzeniewskim*, w którego drukarni odbijał się już właśnie dzisiejszy numer „**Opiekuna.**“ To przeprowadzenie się do innego zakładu drukarskiego, spowodowało opóźnienie się pisma; opóźnienie to jednak nie powtórzy się mamy nadzieję więcej i odtąd „**Opiekun**“ najregularniej dochodzić będzie PP. Prenumeratorów.

„**Opiekun**“ będzie pismem illustrowanem; z początku, który zwykle jest najtrudniejszy, illustracyje nasze, niewyrównaną zapewne illustracyjom jakie posiadamy. Zwolna a ciągle dążyć jednak usilnie ku temu będziemy, ażeby i artystyczna część „**Opiekuna**“ doprowadzić do możliwej doskonałości.

Nie rozpisując się wreszcie szeroko o zabiegach przedsięwziętych ku podniesieniu literackiej wartości pisma, nie możemy przemilczeć że znakomity powieściopisarz J. I. Kraszewski, w skutku przyjętej łaskawie prośby naszej, staje odtąd w liczbie stałych współpracowników „**Opiekuna**“— a pierwsza praca jego niebawem się w piśmie ukaże.

Дозволено Цензурою. Варшава 25 Сентября (7 Октября) 1875 г. W drukarni J. Korzeniewskiego,— Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769a (12 nowy).

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.